

Zbrodnia doskonała istnieje tylko w umyśle mordercy

RENATA FURMAN



MORDERS'TWO NA KEMPINGU

NOVAE RES

RENATA
FURMAN

**MORDERSTWO
NA KEMPINGU**



NOVAE RES

Rozdział I

Ostatnie kartki drukarka wypuła z takim jękiem, jakby chciała dać do zrozumienia, że i dla niej przyszła najwyższa pora na urlop. Zuzanna z westchnieniem ulgi zgarnęła wszystko do szuflady i zamknęła ją z trzaskiem. Koniec. *Goodbye! See you* za miesiąc. *See you later, alligator!* Miesiąc na Helu! Nie chciało jej się wierzyć, że przez tak długi czas nie będzie musiała oglądać nadętej gęby swojego szefa, który – jak by się nie starała – nigdy nie był zadowolony. Całym sobą dawał jej do zrozumienia, że kiedy tylko zostanie wreszcie dyrektorem medycznym, natychmiast ją zwolni i znajdzie na jej miejsce dziewczynę, która będzie się odpowiednio prezentować w sekretariacie tak ważnego szefa. A niechby sobie był w końcu tą grubą rybą! Miała go po dziurki w nosie. I jeszcze się zobaczy, czy tak łatwo ją zwolnić! Będzie jej musiał najpierw znaleźć inne miejsce w firmie. Czyli podwójna korzyść: uwolni się od tego bufona i wejdzie w nowe środowisko. Może wreszcie pozna faceta swoich marzeń? Zobaczy się.

Teraz przed nią cudowny miesiąc w jej ukochanym nadmorskim miasteczku. Miała już wynajęty pokój na Kaperskiej, w Domu Wypoczynkowym Olimp. A właściwie Olimp, bo taką fantazją wykazał się poprzedni, jeszcze państwowy właściciel niewielkiego budynku typu pawilon PRL. Budynek był własnością jakiejś agendy dawnego resortu rolnictwa, potem „się sprywatyzował”, a jego właścicielem za niewielkie pieniądze, bo budynek był już mocno zdewastowany i aż prosił się o generalny remont, został były pracownik ministerstwa, pan Jakub Rybkowski wraz z żoną, panią Hanią Rybkowską. Sympatyczna para włożyła w zdezelowane wnętrza domu Olimp nie tylko spore pieniądze, ale chnęła w nie także świeżego ducha, tworząc dzięki nowemu wystrojowi romantyczny nastrój babciniego dworku. Taka stylizacja wnętrza kłóciła się co prawda z tym, co prezentowało się na zewnątrz – szara prostokątna bryła typu późny Gomułka – ale nie przeszkadzało to ani dumnym z rezultatu swojej pracy i inwencji właścicielom, ani licznym gościom, którzy w każdym kolejnym sezonie wypełniali wszystkie pokoje Olympu. Zuza miała wypoczywać w Olympie już po raz drugi. To w ubiegłym sezonie zdradziła swój wieloletni, tradycyjny sposób spędzania najpierw długich szkolnych, potem jeszcze dłuższych studenckich wakacji, wreszcie tygodniowych, rzadziej dłuższych urlopów. Za bezcen zaczęła wynajmować chętnym letnikom przyczepę, która pamiętała jeszcze jej wspólne z rodzicami pobyty. I przestała jeździć na Białą Żagiel. Miała dość tego kempingu, który kiedyś uważała prawie za swój drugi, letni dom. Teraz, po śmierci pana Kazimierza, który trzymał wszystko żelazną ręką, najpierw w siedemdziesiątych i osiemdziesiątych latach jako pracownik gdyńskiego państwowego biura turystycznego, potem jako prywatny właściciel kempingu, wszystko zmieniło się na gorsze. Jak, kiedy i za ile Kazimierz Rosłoń nabył teren nad samą Zatoką Pucką i urządził na nim kemping z prawdziwego zdarzenia, było dla wszystkich tajemnicą. Dość że stworzył tam doskonałe warunki do rodzinnego wypoczynku: przyczepy stawiane były niezbyt gęsto, każdy miał wokół sporo „swojej” zielonej trawki, w restauracji w pobliżu recepcji można było o każdej porze dnia, a nawet nocy, bo knajpa czynna była do dwudziestej czwartej, zjeść smaczny, porządny posiłek w całkiem przystępnej cenie, a na terenie kempingu nie urządzano dyskotek, co różniło go od innych pobliskich ośrodków i powodowało, że wszelka złota młodzież, wystylizowana na bohaterów *Słonecznego patrolu* omijała go z daleka. Na

Żaglu dominowały rodziny: ojcowie pływali na deskach, młodzież pilnie ćwiczyła tę umiejętność pod okiem trenerów z funkcjonującej tu szkółki windsurfingu, a matki w zaimprovizowanych w przedsiionkach przyczep kuchenkach pichciły smakowite potrawy. Tak było. Teraz nowy właściciel, ponoć jakiś lokalny domorosły biznesmen z Władysławowa, rzadko zaglądał na swoje włości. Powierzył zarządzanie swemu synowi, dwudziestosześcioletniemu miłośnikowi disco polo, bez zawodu i wykształcenia, za to z portfelem wypchany pieniędzmi tatusia. Synalek, chcąc wycisnąć z rodzinnego biznesu jak najwięcej kasy, wynajmował miejsca wszystkim chętnym, przez co przyczepy stały jedna przy drugiej, co spowodowało intymność wypoczynku praktycznie do zera. Urządzał też w restauracji huczne imprezy, trwające nierzadko do samego rana. Wśród gości kempingu zaczęła dominować złota młodzież, a zapach „trawki” stłumił legendarną woń bryzy znad zatoki. Zuza bez żalu zmieniła więc swoje urlopowe przyzwyczajenia. Przyczepę wynajmowała za pośrednictwem Internetu, a pieniądze za wynajem otrzymywała przelewem. Wprawdzie przyczepa częściej stała pusta, niż była wynajęta, ale jakieś niewielkie przychody z tego były. Tak czy siak, poprzysięgła sobie, że jej noga więcej na Żaglu nie postanie. Nie przypuszczała, jak szybko zmuszona będzie złamać swoje postanowienie i w jakich niesamowitych, mrocznych okolicznościach się to odbędzie.

Rozdział II

Świtało. Za rzadkim pasmem sosen, rosnących u podnóża wydmy, niebo było już całkiem jasne. Tu, na ścieżce w głębi nadmorskiego lasu było jeszcze prawie ciemno. Grzegorz szedł sprężystym krokiem. Był wkurzony. I to od wielu godzin, co jego samego dziwiło. Wyszedł na tę dyskotekę do klubu na kempingu Eldorado po klótni z Martą. Nie miała ochoty na zabawę tego wieczora, a jego właśnie roznosiła energia. Długo ją namawiał, aż w końcu prawie wykrzyczał, że jest głupią laską i nie po to taszczył ją ze sobą aż na Hel i płacił za wynajmowanie przyczepy, żeby teraz znosić jej fochy. Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, zostawił ją upokorzoną i płaczącą. Nie było mu jednak głupio. Uważał, że nie ma wobec Marty żadnych zobowiązań. Poznali się zaledwie sześć tygodni temu na imprezie u kumpla. Dziewczyna była atrakcyjna, ale oprócz chęci zawarcia szybkiej i dogłębnej znajomości, nie wyróżniała się niczym specjalnym. Spotkali się kilka razy u niego w kawalerce, kiedy jego sublokator akurat balował u swojej panienci, a potem, jako że miał chwilę przestoju pomiędzy jednym a drugim zleceniem, zaproponował jej wyjazd na Hel na kilka dni. Przyczepę na kempingu Biały Żagiel wynalazł w Internecie, zapłacił z góry za cztery noce. Marta była rozrywkowa i pierwsze dwie doby właściwie spędzili między parkietem w knajpie a wąskim łóżkiem w przyczepie. I tu, i tu dziewczyna sprawdzała się doskonale. Aż do dzisiaj, kiedy nagle stwierdziła, że jest zmęczona i do żadnego Eldorado nie idzie. Więc po solidnej awanturze poszedł sam, wściekły i nabuzowany złością. Na dyskotekę mu nie przeszło. Nie wypił dużo, licząc na to, że na trzeźwo łatwiej będzie mu wyrwać jakąś sztukę, chętną do przeżycia upojnej nocy na plaży pod rozgwieżdżonym niebem. Nic jednak z tego nie wyszło, dziewczyny albo były w obstawie swoich chłopaków, albo nie były gotowe na nawiązanie i konsumowanie takiej piorunującej znajomości. Dosiedział przy stoliku prawie do świtu.

Teraz szedł drogą powrotną, złorzecząc pod nosem. Zatrzymał się przy szlabanie wjazdowym przed Żaglem. Przeszukał kieszenie, usiłując znaleźć papierosa, ale bezskutecznie. Zapukał delikatnie w okno recepcji. Pan Jan drzemał w fotelu, wyciągnąwszy przed siebie nogi. Na dźwięk stukania w szybę otworzył oczy i niespiesznie podniósł się z fotela. Stał w drzwiach recepcji i zmierzył Grzegorza uważnym spojrzeniem.

– Co tam? – Wraz z tym pytaniem do Grzegorza doleciał zapach niestrawionego alkoholu, świadczący o tym, że jak świat światem, a czasy czasami, każdy umiał sobie stróżowanie w jednakowy sposób.

– Może mnie pan poczęstować fajką. Skończyły mi się. – Grzegorz na potwierdzenie swoich słów wyrzucił kieszenie spodni na lewą stronę.

Z prawej, wprost pod nogi pana Jana poturłały się dwa, nawet nie wymięte, marlboro. Stróż uniósł brwi w wyrazie zdziwienia, ale oszczędził sobie komentarza. Powoli wyjął z kieszeni paczkę papierosów i podsunął ją w stronę Grzegorza.

– Ja palę takie. Chcesz pan?

Grzegorz wyjął z paczki jednego papierosa.

– Tak, chętnie spróbuję czegoś innego. Odpalił od płomienia zapałki, którą pan Jan podsunął mu pod nos i wypuszczając pierwszą smużkę dymu, mruknął: – Dzięki. Idę do siebie.

– Coś chyba słabo dzisiaj było. Jakiś kwaśny pan wraca. – Stróż ewidentnie już się rozbudził i widać było, że chętnie skróciłby sobie poranne godziny dyżuru pogawędką.

Grzegorz jednak machnął tylko zrezygnowany ręką i skierował się w stronę szpaleru przyczep stojących tuż nad brzegiem zatoki. Pan Jan popatrzył za nim przez chwilę, po czym wszedł z powrotem do budynku recepcji. Postanowił już do rana pooglądać telewizję. Niech leci byle co, zawsze przecież zapełni czymś wlekące się ostatnie godziny dyżuru.

Rozdział III

Koronkowe serwetki i porcelanowe bibeloty. Bawełniane firanki w oknach, staromodny asparagus na ścianie i olbrzymi rododendron w złoczonej donicy. I zapach. Pszczeli wosk do pastowania podłogi i odrobina, ale naprawdę odrobina waleriany. Pani Weronika zażywała kropelki tylko po wizytach swojej ciotecznej wnuczki.

Genowefa Kowalska lubiła staromodny urok tego niewielkiego mieszkania na parterze ich kamienicy. Było wprawdzie trochę mroczne, ale był to ciemnozielony mrok, jaki dawało światło przedzierające się przez liście licznych doniczkowych roślin zdobiących parapet okienny. Kowalska przychodziła sprzątać dwa razy w tygodniu. Ale tak naprawdę zaglądała codziennie, przynosząc drobne sprawunki, o jakie prosiła ją pani Weronika. Przysiadła wtedy na brzeżku taboretu w małej kuchni, w której najwięcej miejsca zajmowała wciśnięta tu ciemnozielona – jak wszystko w tym mieszkaniu – pluszowa kanapa. Dominowała w pomieszczeniu i już na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie całkowicie niepraktycznej. Ba, każdy, kto znał panią Weronikę, wiedział, że jest także zupełnie nieprzydatna. Ona jednak twierdziła, że musi być dodatkowe miejsce do spania na wszelki wypadek, gdyby jej ukochana wnuczka miała zanoć u ciotecznej babki. Tyle tylko, że przez całe lata taki wypadek nigdy nie nastąpił. Kowalska nie miała dobrego zdania o wnuczce pani Weroniki. Spotkała ją u niej kilka razy i było to zawsze po wizycie listonosza z emeryturą.

Obie panie, Weronika i Genowefa, były właściwie w podobnym wieku. Ale podczas gdy siedemdziesięciosześcioletnia Genowefa Kowalska zachowała jasność umysłu i sprawność sześćdziesięcioletki, to Weronika, która dopiero co przekroczyła osiemdziesiątkę, wyglądała i zachowywała się jak zgrzybiała staruszka. Swoje dziedziczenie pokrywała jednak nieskazitelnymi manierami przedwojennej damy, co wzbudzało szacunek otoczenia i powodowało, że traktowano to, co mówiła i robiła, bardzo poważnie. Także Kowalska, choć ona akurat doskonale zdawała sobie sprawę z prawdziwego stanu umysłu pani Weroniki. Ale oneśmiały ją te maniery, ją, były dozorczynię w kamienicy na warszawskiej Starej Ochocie.

– Niedobrze pani robi, pani Mazurowa, że pani tak podsypuje pieniądze tej paninej krewnej. – Pokręciła głową z wyrazem niesmaku na twarzy.

Obie panie siedziały w kuchni. Kowalska skończyła już sprzątać i teraz, poczęstowana przez panią Weronikę, siorbała herbatę, trzymając niezdarne w dłoniach kruchą filiżankę. Niedawno za cioteczną wnuczką pani Weroniki zamknęły się drzwi. W naturalny więc sposób rozmowa zeszała na temat tej dziewczyny.

– Ona przecież pełnoletnia już jest, mogłaby się za jakąś pracę zabrać, a nie starą, za przeproszeniem, ciotkę skubać.

– Droga moja pani Kowalska. – Starsza pani z rozmysłem modulowała głos – Anetka to dobre dziecko, jakże może pracować, kiedy ona przecież studiuje, musi się dużo uczyć. Przebywa w towarzystwie młodzieży z dobrych domów, musi więc i ubrana być jak należy, i do teatru, filharmonii uczęszczać regularnie. A bilety kosztują – dodała pani Weronika z westchnieniem.

„Kto ją tam wie, studiuje albo ciotkę czaruje” – pomyślała Kowalska, a głośno powiedziała tylko:

– Ano tak, ano tak... A swoją drogą, dziewczyna niebrzydka, figurę ma jak się patrzy, a jakoś jej nigdy z chłopcem nie widziałam. Co ona taka samotnica jakaś?

– Ja jej o takie sprawy nie pytam, droga pani Kowalska. – Weronika Mazur uniosła dumnie głowę. – Nie są to kwestie, które powinny być przedmiotem nagabywania ze strony ciotecznej babki – powiedziała wyniośle. Po czym, pochyliwszy się w stronę Kowalskiej, dodała szeptem, jakby wstydząc się wypadnięcia z roli: – Ale wiem, że jest obok niej mężczyzna. I to stateczny wiekiem, a nie jakiś smarkacz. I wcale teraz pieniędzy nie chciała ode mnie przyjąć. Widać, że ten mężczyzna poważnie się o nią stara, skoro nawet finansowo ją wspiera! – uzupełniła, unosząc wskazujący palec i podnosząc do góry brwi, jakby chciała z niejakim triumfem powiedzieć „No!”.

Rozdział IV

Nie był już dobrym człowiekiem. Zło. Ogarnęło go zło, niczym czarna chmura dymu. Czuł je właśnie tak, jak dym, który wdziera się w płuca i uniemożliwia oddychanie. Zatrzymał wzrok na horyzoncie. To był jakiś stały punkt. Nie miał już takiego punktu w życiu. Jego życie było rozhuśtane i wzburzone, jak morskie fale u jego nóg. Zanurzył w nie stopy. Nie czuł zimna. Nie czuł niczego. Jego umysł był odrętwiały. Wszedł głębiej, jeszcze głębiej i jeszcze. Kiedy woda sięgała mu do pasa, zatrzymał się i zaczął płakać. Łzy spływały mu po policzkach, po brodzie, żłobiły słone ścieżki w jego twarzy i nie wiedział już, czy to łzy, czy krople ochlapującej go morskiej wody.

„Jestem tchórzem” – pomyślał. „I byłem nim przez całe swoje życie”.

Rozdział V

– Niech pan wypije trochę wody. – Słowa komisarza brzmiały szorstko.

Grzegorz odczytał je więc jako polecenie i posłusznie upił łyk wody ze stojącej przed nim szklanki.

Siedział w przedśionku, na niewygodnym drewnianym krześle. To trwało już tak długo! W przedśionku było gorąco i duszno. Nie wiedział, która jest godzina, ale sądząc po upale, musiało być już grubo po dziesiątej.

Ciało Marty Dulęby wciąż jeszcze leżało w przyczepie. W środku, ocierając się o siebie z braku miejsca, pracowała ekipa techniczna. Z godzinę temu fotograf zakończył swoją robotę, ustępując pola specom od zabezpieczania śladów. Wiedział, że wokół przyczepy kłębi się tłum. Widział sylwetki ludzi, dorosłych, dzieci, niektórzy wręcz przynieśli ze swoich przyczep składane krzeselka i rozsiedli się w pobliżu, niby przypadkiem, udając, że właśnie w miejscu, gdzie siedzą, promienie słońca o tej porze dnia najskuteczniej pogłębiają odcień ich opalenizny. Dzieciaki jeździły wokół na rowerach, przystawały, szeptały coś między sobą, odjeżdżały, ale tylko po to, by za chwilę wrócić. Takie wydarzenie! Dziewczyna zamordowana w przyczepie! Udużona! Na śmierć!

– Więc twierdzi pan, że Marta Dulęba już nie żyła, kiedy wrócił pan do przyczepy. Która to była godzina? – Komisarz Dariusz Sztuk czuł znużenie.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że sprawa jest prosta. Świadkowie słyszeli głośne krzyki i płacz kobiety, widzieli jak wściekły Grzegorz Sumiński wybiega na ścieżkę i idzie w kierunku bramy kempingu. Potem pewnie podsycił swoją złość alkoholem, wrócił, zaczęli się szarpać, złapał za leżącą na łóżku apaszkę dziewczyny i w alkoholowym szale zaciągnął oba końce. Skutecznie.

– Nie wiem, świtało. Nie miałem zegarka. Ale stróż z recepcji powinien wiedzieć. Gadaliśmy przez chwilę przy bramie.

– Sprawdźmy. Sprawdźmy też, o której opuścił pan dyskotekę w Eldorado. I jak się to ma do godziny, o której doszło do zgonu Marty Dulęby. Do tego czasu muszę pana zatrzymać. Pojedzie pan z sierżantem Łukaszkiem do komisariatu. Sierżancie, zabierzcie pana.

Grzegorz nie protestował. Był absolutnie oszołomiony. Czuł się tak, jakby jego ciało i umysł dryfowały gdzieś poza czasem i przestrzenią.

Rozdział VI

– Więc mówi pan, że taka rozmowa nie miała miejsca. W ogóle nie widział pan Sumińskiego wracającego na kemping. To dlaczego on twierdzi co innego?

– A kto go tam wie. Kombinuje, jak się wykręcić. Jak mówię, że go nie widziałem, to nie widziałem. Co by mi zależało, żeby kłamać?

„No właśnie, co?” – pomyślał Sztuk, głośno zaś powiedział:

– No dobrze, to dziękujemy panu. Podpisze pan protokół w sąsiednim pokoju.

Stróż pożegnał się i wyszedł.

– Słyszałeś. Coś mi śmierdzi w tych jego zeznaniach. – Sztuk zwrócił się do starszego aspiranta Kubika, który był świadkiem przesłuchania. Dzieliły ich wprawdzie dwa stopnie, ale komisarz uważał, że ta formalna różnica nie oddaje rzeczywistych kompetencji Kubika, który jego zdaniem był nie tylko inteligentny, ale także obdarzony tym, co w pracy śledczego na koniec zawsze okazywało się bezcenne: intuicją.

– Faktycznie, jakiś śliski facet.

– Sumiński upiera się, że rozmawiał z cieciem, twierdzi, że tamten poczęstował go nawet papierosem, bo jemu się skończyły. Dlaczego cieć zaprzecza? Który mówi prawdę, który kłamie i dlaczego to robi? – Komisarz poderwał się gwałtownie zza biurka, jednym szarpnięciem otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. Stróż czekał jeszcze na wydrukowanie protokołu.

– Niech pan wejdzie jeszcze na chwilę. – Przepuścił stróża w drzwiach.

– Panie Kobylak, ja pana pytam ostatni raz. – Spojrzał na ciecia surowo. – Rozmawiał pan wtedy z Sumińskim czy nie. Niech pan sobie dobrze przypomni.

– Co sobie mam przypominać panie komisarzu, przecież to całe morderstwo to było dzisiaj w nocy, to miałem zapomnieć, co robiłem? – Kobylak wydawał się szczerze obruszony.

Kiedy stróż wyszedł, komisarz poprosił Kubika:

– Sprawdźcie go. Jego, jego kontakty, rodzinę. Nie wiadomo, co facet ma na sumieniu. Jestem pewien, że nie jest z nami szczerzy.

Rozdział VII

Te wszystkie krzywe paluchy, haluksy, te pedikiury modne, odblaskowe, naprędcie uwalniane z ciepłych buciorów stopy wciśnięte w przymałe sandałki, koniecznie złote albo srebrne – budziły w niej obrzydzenie. Sama miała na nogach zeszlóroczne tenisówki. Rano były jeszcze czyste, teraz podeptane przez te wszystkie sandałki, tłoczące się, nie wiedzieć czemu, przy samej krawędzi peronu pierwszego dworca Gdynia Główna.

Osobowy do Helu miał już dwadzieścia minut spóźnienia. Zuzanna była zniecierpliwiona. Wiedziała z doświadczenia, że pociąg będzie zatłoczony, a im więcej pasażerów, tym dłuższe postoje na kolejnych stacyjkach, bo wysiadanie objuczonych bagażami ludzi, wyciąganie z wagonu dzieci i nie bardzo zręcznych seniorek rodów musi trwać. No i psy! Kilka kręciło się teraz wokół nóg swoich właścicieli. One zawsze przy wysiadaniu zapierały się czterema łapami, bojąc się połamać je na śliskich, stalowych stopniach wagonu. Zuzanna wiedziała więc, że łatwo nie będzie.

– Jedzie, jedzie! – Dzieciaki zaczęły radośnie podskakiwać, psy poszczekiwać, matki i ojcowie nawoływać swoje pociechy i uciszać czworonożnych pupili, po czym jedne szarpiąc za ręce, a drugie za obroże, zaczęli falować wzdłuż peronu, próbując tak wycelować, żeby kiedy pociąg stanie, znaleźć się dokładnie naprzeciw drzwi.

Zuzanna zrezygnowana stała nieco z tyłu. Nie miała nadziei na miejsce siedzące, wołała więc wejść dopiero wtedy, kiedy pasażerowie jakoś upchną się w wagonie. Nie przewidziała, że o to, żeby w ogóle się zmieścić, będzie musiała powalczyć z grupką uczestników wycieczki rowerowej, która niespodziewanie wyłoniła się z podziemnego wyjścia na peron.

„Czy oni myślą, że w przedsionku wagonu zmieści się sześć rowerów i siedem osób?!” – pomyślała wściekła.

A jednak się zmieścili, co wiązało się z tym, że na każdej stacji wszystkie rowery musiały być wystawiane na peron, żeby przepuścić wysiadających pasażerów. Podróż wlokła się więc w nieskończoność. Kiedy Zuzanna wreszcie wysiadła na swojej stacyjce była spocona i potwornie zmęczona. Marzyła o chłodnym prysznicu, po którym mogłaby założyć szorty i pobiegać w cieniu nadmorskiego lasu. Turkocząc kołami walizki, dowlekła się do pensjonatu. Na ławeczce pod ścianą budynku siedziała Hanna Rybkowska. Widząc nadchodzącą Zuzannę, poderwała się gwałtownie.

– Pani Zuziu, jak to dobrze, że pani wreszcie jest! – wykrzyknęła nerwowo bez żadnych wstępów. – Tu policja za panią dzisiaj zachodziła! Jakoś się dowiedzieli, że pani u nas w zeszłym roku mieszkała i widać postanowili tu pani szukać.

– Policja? Do mnie? Co się stało?

– Stało się morderstwo! W pani przyczepie! Ot, co się stało. – Słowa Rybkowskiej zawisły nad rozświetlonymi promieniami słońca rabatami wielobarwnych kwiatów jak czarna, burzowa chmura.

Rozdział VIII

– Zuzanna Grabowska do pana komisarza. – Posterunkowy powiedział to, lekko tylko uchyliwszy drzwi do gabinetu Sztuka.

– Niech wejdzie – mruknął komisarz, nie odrywając oczu od protokołu zeznań Sumińskiego.

– Weszłam – usłyszał spod drzwi nieco rozbawiony głos.

Podniósł wzrok i na chwilę oniemiał. Przed nim stała dziewczyna jak z bursztynu, jak w tej piosence, którą od lat puszczali w radiu zawsze w czasie wakacji. Blondynka o ogromnych piwnozłotych oczach, z gromadką piegów na niedużym nosku. Uśmiechała się nieśmiało, ale nawet ten niewielki uśmiech powodował, że na jej troszkę pyzatej buzi pojawiły się uroczne dołeczki. Nie była jakąś długonogą, wychudzoną modną laską, ale była... no była po prostu prześliczna.

– Proszę, niech pani wejdzie i usiądzie. – Uniósł się ze swojego miejsca i wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka. – Dziękuję, że pani się do nas pofatygowała.

– To mój obowiązek, wiem, że mnie szukaliście. W mojej przyczepie doszło do tragicznego zdarzenia.

– Tak... – Sztuk zawiesił głos i wpatrywał się bez słowa w twarz Zuzy.

Spodobały mu się te piwne oczy, które nawet teraz, chociaż ich właścicielka była nad wyraz poważna i skupiona, rzucały spod powiek wesołe iskiery, te piegi na nosku i usta, lekko nabrzmiałe, jakby stworzone do pocałunków. Musiał przyznać sam przed sobą, że dawno już żadna dziewczyna nie zrobiła na nim takiego wrażenia.

Zuzanna poruszyła się na krześle i cichutko chrząknęła.

– Właśnie – podjął temat, wypowiadając to słowo głośniejsze, niż by chciał, co najwyraźniej zdradziło jego zakłopotanie. Zły sam na siebie, przeszedł więc szybko do rzeczy. – Proszę powiedzieć, jak to się stało, że wynajęła pani przyczepę Grzegorzowi Sumińskiemu?

– Całkiem po prostu, przesłał wiadomość na moją stronę internetową z pytaniem, czy w tych dniach przyczepa jest wolna. Odpisałam, że tak, i podałam mu koszt wynajmu.

Dziewczyna wydała mu się nieco przestraszona.

– Od dawna wynajmuje pani w ten sposób przyczepę?

– Dopiero drugi sezon. Ale robię to całkiem legalnie, zgłosiłam działalność do urzędu skarbowego i odprowadzam podatki.

A więc nie to jest powodem jej zdenerwowania. A co? Postanowił nie łamać sobie teraz nad tym głowy.

– Opłaty pobiera pani z góry?

– Za krótkie dwu-, trzydniowe pobyty tak. Płatność odbywa się przelewem.

– I nigdy wcześniej nie spotkała pani Sumińskiego?

– Nie, nie spotkałam i nie znałam nikogo o tym nazwisku. Mówiłam to już temu policjantowi, który dokonywał, jak to mówicie, okazania.

– W porządku. Proszę nie wyjeżdżać z Olympu bez wcześniejszego powiadomienia nas.

- Czy to ma być areszt domowy? – W jej głosie dźwięczał śmiech.
- Spojrzał w jej złote roześmiane oczy i także z uśmiechem odpowiedział:
- Na razie nie.

Rozdział IX

Komisarz szedł przez posterunek wąskim korytarzem, który ciągnął się wzdłuż całego budynku i żeby dojść do wyjścia, Sztuk, którego gabinet znajdował się na końcu, musiał przejść obok wszystkich pomieszczeń. Szedł szybko, spieszył się do domu. Dzisiaj na Euro Hiszpania gra z Włochami. Ciekawe, czy obroni tytuł mistrza Europy. Naprzeciw niego szła grupka mężczyzn. Dwóch policjantów prowadziło trzech skutych kajdankami wystraszonych nieszczęśników. Sztuk przyłgnął do ściany, żeby ich przepuścić. Jeden z nich wydał mu się znajomy. Wszedł za nimi do pokoju.

– Panie Kobylak, pan tutaj? – zdziwił się, widząc wśród zatrzymanych stróża z kempingu Biały Żagiel, z którym niedawno przecież rozmawiał tu, na komendzie. – Zapomniał pan czegoś u nas?

– Niech pan nie żartuje, panie komisarzy. Mnie pana koledzy wcale nie rozśmieszyli. – Kobylak nie był zły ani hardy, raczej zrezygnowany i smutny.

– Co jest? – Sztuk rzucił pytanie w kierunku policjanta.

– Handel przemycanymi papierosami. Od dawna cała okolica paliła lewe fajki. Wpadli przez kłótnię z sąsiadem, który na nich doniósł.

– Rozkuj go i wprowadź do mnie. – Komisarz błyskawicznie podjął decyzję i zawrócił do swojego gabinetu. – Niech pan siada – podsunął krzesło Kobylakowi, kiedy zostali sami. – To dlatego nie chciał pan potwierdzić alibi Sumińskiego? Częstoował go pan papierosami z kontrabandy. Chłopak przez pana mógł mieć bardzo poważne kłopoty.

– Panie komisarzy, teraz to ja nie mam już nic do stracenia. Powiem, jak było. Faktycznie, wszedł przez bramę nad ranem. Było już po świcie. Rozmawialiśmy chwilę, poprosił, żeby go poczęstować papierosem, bo jemu się skończyły. Tylko że jak mi chciał pokazać, że ma puste kieszenie, to mu wypadły dwa eleganckie marlboro. No to nie wiem, jak tam z tym jego alibi w końcu jest. – Kobylak wzruszył ramionami. – Po co mnie prosił, jak miał swoje? Ja tam śledczy nie jestem, ale widzi mi się, że specjalnie tak zrobił, żebym go sobie dobrze zapamiętał. Jak mu te papierosy wypadły, to udałem, że tego nie widzę. Śmierdzącą sprawę to wyczuję na kilometr! Nie chciałem mieć kłopotów.

– No, tylko na przemyt coś ma pan ten swój nos niewrażliwy. Ale to już nie moja rzecz. Koledzy się panem zajmą. A że kłopoty będą, to gwarantuję.

Rozdział X

– Cholera, czyli wracamy do punktu wyjścia. Mamy potencjalnego sprawcę, którego alibi jest co najmniej wątpliwe. – Kubik uderzył otwartą dłonią w biurko.

– Co się wściekasz, grata szkoda. Nowe meble obiecali w drugim kwartale przyszłego roku. I nie sprawcę, nawet potencjalnego, tylko podejrzanego. Nie wiem, coś mi w tym wszystkim nie gra. Sumiński to nie typ mordercy. On się może wkurzyć, zwyzywać dziewczynę, walnąć pięścią w stół, jak ty przed chwilą, ale według mnie nie jest w stanie nie tylko zabić, ale nawet uderzyć. To nie typ mordercy – powtórzył Sztuk.

– Ilu morderców w życiu zatrzymałeś? – zapytał drwiąco Kubik i sam sobie odpowiedział. – Dwóch. Czy któryś z nich wyglądał ci na typ mordercy? To zwykłe łachmyty, gnojki, którym woda na chwilę odebrała i rozum, i serce. Z Sumińskim też tak było.

– No nie wiem, może masz rację. Skontaktuj się z Łodzią. I on, i Marta Dulęba pochodzili z tego samego miasta. Niech koledzy pogrzebią w życiorysach obojga. Może na coś wpadną – zakończył rozmowę komisarz.

Rozdział XI

Musi to zrobić. Jeszcze ten raz. Przedostatni. Potem przyjdzie wyzwolenie. Będzie taki jak dawniej. Jakim znali go wszyscy. Szanowali, cenili. On nie wierzył w takie uczucia. Sam czuł respekt tylko przed silniejszymi od siebie: bogatszymi, ustosunkowanymi, na stanowiskach, które pozwalały im dowolnie czerpać z życia. Gardził słabeuszami, życiowymi nieudacznikami uczepionymi obcych klamek. Musi wreszcie przestać taki być. Król życia, oto, kim kiedyś będzie! Jeszcze tylko ten raz. Przedostatni. Później przyjdzie spokój.

Rozdział XII

Ten szelest był inny od pozostałych. To nie podmuch wiatru, który poruszył liśćmi, nie przemykająca w poszyciu jaszczurka. Ten dźwięk musiało spowodować jakieś duże zwierzę. Przystanęła zaniepokojona. Spojrzała do tyłu. Na ścieżce, która pośród zwisających gałęzi gęsto rosnących drzew kończyła się w oddali światłem, jakby wiodła w zielonym tunelu, nie było nikogo. Spróbowała przeszyć spojrzeniem gęstwinę krzewów po obu stronach. Niczego nie dostrzegła. Postanowiła biec dalej. Z odwróconą wciąż do tyłu głową zrobiła pierwsze trzy kroki i wtedy z impetem zderzyła się z niespodziewaną przeszkodą.

– Co pani tu do diabła robi! – komisarz mocno schwyił Zuzę za nadgarstki, dzięki czemu przestała tłuć na oślepie piąstkami w jego klatkę piersiową.

– Niech mnie pan natychmiast puść! – Zuzanna była teraz już nie przestraszona, a wściekła.

– Nie mogę pani puścić. Mam prawo użyć siły w obronie własnej. – Sztuk był rozbawiony. – Gdybym pani nie powstrzymał, odbiłaby mi pani płuca. – Wciąż przytrzymywał jej drobne dłonie w swoich rękach. Czuł, jak cała drży, jaka jest rozgrzana po biegu, widział zlepione potem maleńkie włoski na jej czole i kropelki, które spływały jej wzdłuż szyi.

– A pan co robi? Szuka grzybów czy tropi mordercę?

– Ani jedno, ani drugie. Spaceruję, rozmyślam i koję rozdygotane nerwy młodych dam.

– Nie musiały pan końić, jakby ich pan wcześniej nie straszyl – podjęła żartobliwy ton komisarza.

– Pani Zuzanno – Sztuk spoważniał – nie powinna pani spacerować tak daleko od ludzi, samotnie. Ta dziewczyna została zamordowana w pani przyczepie. Nie możemy wykluczyć, że morderca się pomylił, że spodziewał się zastać tam właśnie panią.

– Mnie? – Zuzanna nie kryła zdziwienia. – Niby kto chciałby mnie zabić? Dlaczego? Jaki miałby powód?

– Tego właśnie nie wiem. Nikogo pani nie podejrzewa?

– Chce pan powiedzieć, że wśród moich znajomych są tacy, którzy nie tylko życzą mi śmierci, ale nawet gotowi są pozbawić mnie życia? Bzdura!

– Nie sugeruję tego. Ale muszę brać pod uwagę wszystkie ewentualności. Przynajmniej na tym etapie śledztwa. Nic nie przychodzi pani do głowy?

– Zupełnie nic. Jestem taką sobie, zwyczajną, spokojną dziewczyną, panie komisarzu. – W ostatniej chwili Zuzanna zrezygnowała z nadania temu zdaniu kokieterycznej nuty, co sprawiło, że zabrzmiało ono, jakby ta konstatacja wprawiła ją w smutek.

„Ani zwyczajną, ani spokojną” – pomyślał Sztuk, ale powiedział tylko:

– Chodźmy, odprowadzę panią do pensjonatu. – I zaraz, jakby usprawiedliwiając się, dodał: – Chcę porozmawiać z pani gospodynią. Ona ma oko na kręcących się letników.

Rozdział XIII

– Bez wątpienia mamy do czynienia z uduszeniem rękoma. – Patolog pakował już swoją walizeczkę.

– Widzę te sińce na szyi, ale skąd pewność? Może tylko złapał ją za szyję, a udusił przy pomocy sznura albo raczej tej apaszki, którą znaleźliśmy przy łóżku – podzielił się wątpiwościami Szuk.

Lekarz pokręcił przecząco głową.

– Nie ma bruzd po sznurze, a kość gnykowa jest pęknięta. Morderca dusił gołymi rękami, a na to zawsze potrzeba i siły, i czasu. – Zatrzasnął walizeczkę i podszedł do wyjścia. W drzwiach odwrócił się jeszcze i dodał stanowczo: – Morderca był silny i zdecydowany. Przyszedł, żeby zabić.

Komisarz został sam w przyczepie. Spojrzał po raz kolejny na twarz dziewczyny leżącej na wąskim łóżku. Pomyślał, że jest podobna do zamordowanej Marty Dulęby. Ten sam typ urody, a właściwie ta sama, niezrozumiała dla niego u kobiet dążność, żeby wyglądać jak inne. Włosy ufarbowane na zbyt czarny kolor, szeroko rozstawione uczernione brwi, metalowy kolczyk w skrzydełku nosa. Przesadnie szczupła, jak na jego gust wręcz chuda. Jeszcze jedna z tych, co to myślą, że jak chuda, to zgrabna. Była to dziewczyna pospolita, ale welon śmierci odarł ją z rysu pewnej wulgarności. Jej twarz wydawała się teraz bardzo dziewczęca, niewinna i bezbronna.

Szutuk wyszedł przed przyczepę. Był zmęczony. Zmęczony, znużony i zły. Mierzili go stojący ciasno wokół przyczepy ludzie, którzy tym razem nie kryli już tak jak poprzednio swojego niezdrowego zainteresowania i podniecenia. Oni też byli źli. A niektórzy przerażeni. W krótkim czasie na kempingu w dwóch przyczepach zamordowano dwie młode dziewczyny. Morderca był na wolności, policja wydawała się bezradna.

– Możecie już zabrać ciało – rzucił do czekającej ekipy. Podszedł do Kubika, który rozmawiał z jakąś kobietą, zapisując coś w notesie.

– Masz już wszystkich? – spytał, kiedy tamten podziękował rozmówczyni.

Odeszli nieco na bok.

– Tak, nic tu po nas. Nikt nic nie widział i tym razem też nikt niczego nie słyszał. Miałeś rację z tym Sumińskim. To nie on. Puszczamy go?

– Ja bym się nie spieszył. Nie mamy pewności, że obie zbrodnie popełniła ta sama osoba. W jednym wypadku sprawca posłużył się apaszka. Teraz dusił gołymi rękami. Pierwsze morderstwo wygląda jakby było popełnione w afekcie. Ale mogą się mylić. No i to robienie sobie przez Sumińskiego alibi. Poczekajmy jeszcze.

Rozdział XIV

– Tak ciociu, mam już bilet. Kupiłam wcześniej, bo wtedy jest tańszy. Nie, nie musisz odprowadzać mnie na dworzec, nie będę sama. Tak, ten sam. Dobrze, kiedyś go przyprowadzę, ale teraz muszę już kończyć. Pa, pa, odezwę się znad morza!

Aneta miała dość wtrącania się ciotki we wszystkie jej sprawy. Dawniej tolerowała to ze względu na pieniądze, jakimi ciotka regularnie zasilala jej kieszeń. Jednak teraz te skromne kwoty nie były jej już do niczego potrzebne. Stać ją było na drogie ciuchy, kosmetyki, a nawet na trzytygodniowy pobyt na Helu z opłaconymi z góry codziennymi lekcjami windsurfingu. Rozejrzała się po pokoju. Skórzane meble, duża plazma na ścianie, kilka nietanich akwareli, które tak ją zachwyciły w Desie. Kiedyś mogła o tym wszystkim tylko marzyć. Luksus. To słowo zawsze miało dla niej egzotyczne brzmienie. Jak tropikalny kwiat, jak zapach francuskich perfum, jak jedwabna bielizna. I jak diamenty. Teraz na jej palcu skrzył się diamentowy okruc. Nie zakładała tego pierścionka, kiedy wybierała się z wizytą do ciotki. Nie umiała by chyba skłamać, skąd wzięła na niego pieniądze. Na ciuchach ciotunia się nie znała, ale na biżuterii tak. Wiedziałyby oczywiście, że wart jest co najwyżej dwa, trzy tysiące złotych, ale wiedziałyby też, że Anety z całą pewnością nie stać nawet na taki drobiazg. Dzwonek do drzwi. Otworzyła szybko.

– Jestem.

– Widzę. Wejdz. – Powoli przymykała drzwi, przez które Bogucki pospiesznie usiłował się przemknąć.

– Boisz się, że ktoś cię zobaczy? – drwina w głosie Anety była aż nazbyt wyraźna. – Mój drogi, zobaczy czy nie, jeśli tylko zechce i tak wszyscy się dowiedzą.

– Anetko, dlaczego jesteś taka? – Próbował ją objąć i pocałować. Wydał jej się żaloszny. – Dlaczego się boczysz, straszysz? Przecież wiesz, jaka jesteś dla mnie ważna.

„Akurat” – pomyślała, a głośno zaptała z przekąsem:

– Tak samo ważna, jak te wszystkie małolaty, z którymi gziłeś się po kątach na Dworcu Centralnym? Pewnie do dzisiaj jeszcze to robisz!

Skrzywił się. Razily go wulgarne słowa w jej ustach. Nie rozumiał, skąd było w nim tyle uczucia dla niej. Dawno przestała być tą słodką dziewczuszką, którą poznał pod jej liceum cztery lata temu. Niepostrzeżenie stała się kobietą. Pociągała go, ale nie był to ten niezrozumiały imperatyw do osiągnięcia zbliżenia, jaki odczuwał na widok niezdarnych, wyciągniętych w górę, pozbawionych jeszcze biustu nastolatek. Może łączyła go z nią relacja kata i ofiary? Bo czuł się jej ofiarą. Chciał się jej pozbyć, zerwać tę toksyczną znajomość, ale nie mógł tego zrobić. I to nie tylko ze strachu, że zdradzi jego sekret, i nie dlatego, że powoli przestawał nastarczać z pieniędzmi na jej zachcianki. Co do niej czuł, co go przy niej trzymało? Nie wiedział, nie rozumiał. Drwiła z niego, szantażowała, seks z nią stał się już zaledwie zadowalający. Więc co? Może to, że była jedyną osobą, z którą dzielił swój sekret. Świadomość, że ktoś wie o jego tajemnicy, przerażała go, a jednocześnie czuł ulgę, że nie jest sam na sam z dręczącym go koszmarem.

– Chodźmy już – powiedział tylko, biorąc do ręki stojącą w przedpokoju walizkę. – Podwiozę cię pod wejście, dalej już pójdziesz sama.

Rozdział XV

– Za chwilę będą.

Krystyna odwiecznym gestem wszystkich kobiet uniosła dłoń i poprawiła niewidoczny kosmyk włosów, który jak jej się wydawało, wymykał się z misternie upiętej fryzury z tyłu głowy. Była piękna. Zdumiewająco piękna jak na swoje lata. Szczupła twarz, dosyć wysokie czoło, nad którym piętrzyły się puszyste, popielato blond włosy, z rzadka tylko poprzątkowane srebrnymi nitkami. Wąski, lekko orli nos i ogromne, ciemnoszare, wyraziste oczy. Wszystko to nadawało jej wygląd dawnej arystokratki, co całkowicie przeczyło jej prawdziwemu pochodzeniu, dziewczyny z warszawskiego Okęcia, z biednego domu, w którym ani matka, ani ojciec nie skalali się pracą, a jakoś żyli i jakoś żywili trójkę swojego drobiazgu.

Zawsze znalazł się kumpel, który złapał trochę grosza i nie miał z kim wypić flaszki, przynosił ją więc do gościnnego domu Traczyków, razem z zagrychą, którą pożywiały się też dzieciaki. Aż dziw, że karmiona głównie kaszanką i kwaszonymi ogórkami Krystyna wyrosła nie tylko na piękną, ale i wysoką dziewczynę. Głowę nosiła dumnie uniesioną, chcąc tym sposobem dać do zrozumienia wszystkim sąsiadom, znajdującym się odrobinę wyżej w społecznej hierarchii, że nic sobie nie robi z ich współczujących lub drwiących spojrzeń, jakimi ścigali ją, kiedy zamasztył krokiem przemierzała podwórko.

Była najstarsza z rodzeństwa, chodziła swoimi ścieżkami, ale też, co należy jej oddać, ścieżki te nigdy nie zaprowadziły jej tam, gdzie porządna dziewczyna nie powinna się znaleźć. W miarę bezboleśnie przebrnęła przez szkołę podstawową, potem krawiecką zawodówkę. Nigdy nie nauczyła się porządnie szyć, bo w domu nie było maszyny i nie miała gdzie ćwiczyć, a i jak się okazało, przeszkodą do sprawnego posługiwania się igłą okazały się jej szerokie, kościste dłonie, których zresztą zawsze się wstydziła, bo wydawały jej się tak pospolite i prostackie, że z całą pewnością musiały, jej zdaniem, natychmiast zdradzać, z jakiego środowiska pochodzi ich właścicielka. Ale dzięki szkole zrozumiała, na czym polega szyk i jak, dzięki właściwie zestawionej garderobie, można przydać sobie elegancji i klasy.

Któregoś dnia postanowiła poszukać szczęścia i ubrana w swoje najlepsze ciuchy zgłosiła się do działu kadr zakładów remontowych portu lotniczego Okęcie. Miała szczęście. Spodobała się i z marszu dostała etat jako goniec w sekretariacie wicedyrektora. Już po pół roku, kiedy dotychczasowa sekretarka przeszła na emeryturę, Krystyna zajęła jej miejsce. Doceniono jej prezencję oraz nabyte w trakcie pracy umiejętności.

Tam poznała mecenasa Boguckiego. Był w biurze radcą prawnym do spraw kadr. Ilekroć wchodził z papierami do gabinetu wicedyrektora, zatrzymywał się przy biurku Krystyny i podejmował rozmowę na obojętne tematy. Raz była to pogoda, innym razem kolejki w supersamie, kiedy indziej plany dotyczące urlopu. Z czasem rozmowy stawały się coraz dłuższe, dotyczyły spraw coraz bardziej osobistych. Żeby nie narażać się na dwuznaczne spojrzenia odwiedzających sekretariat pracowników, a i samego wicedyrektora, umówili się na kawę w kawiarni na Nowym Świecie.

Tych spotkań było coraz więcej. Bogucki zakochał się po uszy. Młodziutka Krysią bez reszty zawróciła mu w głowie. Nie intelektem przecież. Była wysoka, wiotka i całkiem niewinna. Ich coraz

liczniejsze spotkania miały platoniczny charakter. Bo choć Boguckiego wprost paliły żądze, to Krystyna szybko zrozumiała, jak silną ma nad nim władzę i że bierze się ona właśnie z tego niespełnienia i wciąż podsyconego pożądania.

Po kilku miesiącach postawiła twardy warunek: albo ślub, albo rozchodzą się każdy w swoją stronę. Zagrała *va banque*, wiedziała, że to jej jedyna szansa, aby wydzwignąć się ze swojego szarego, zapyziałego świata. Ślub wzięli bez rozgłosu, wesela nie było. Krystyna nie chciała, wiedziała, że musiałaby zaprosić na nie swoją rodzinę. A tej się wstydziła i chciała o niej jak najszybciej zapomnieć.

Rozpoczęli życie we dwoje w obszernym mieszkaniu Boguckiego. Choć od ich ślubu minęło już tyle lat, w tym wielkim mieszkaniu nigdy nie było dzieci i, jak dobrze wiedzieli oboje, czas, kiedy mogłyby się pojawić, minął bezpowrotnie. Po ślubie Krystyna szybko zmieniła wystrój mieszkania, koncentrując się szczególnie na salonie. Bogucki musiał przyznać, że jego młoda żona ma wycucie smaku, nie tylko jeśli chodzi o ubiór.

Salon urządziła w jednolitym stylu, przypominającym nieco art déco. Całość utrzymana w różnych odcieniach palonej kawy w połączeniu z ciepłą barwą światła rzucanego przez stylowe abażury rozstawionych na bocznych stolikach lamp, tworzyła wnętrze eleganckie i przytulne. W centralnym punkcie salonu stał niewysoki, ale niemały stół otoczony czterema wygodnymi fotelikami. Przy nim pan domu regularnie grywał w brydża ze swoimi gośćmi.

Tak działo się przez blisko trzydzieści lat ich wspólnego życia i tak miało być i dzisiaj. Zaprosili kilka osób, tak więc czwórka do gry na pewno się znajdzie. Pozostali jak zwykle będą kibicować. Krystyna przygotowała zimne przekąski, jakieś tartinki, a dla smakoszy świeżo wędzonego węgorza, którego przywieźli kilka dni temu z Juraty, gdzie jak co roku spędzali letni urlop w tyleż sławnym, co już podupadłym, jeśli chodzi o klientelę, hotelu.

Goście nadeszli wszyscy razem. Mecenas Rudzki, inżynier Pawlicki i doktor Jarocki. Wszyscy z żonami. Panowie bez ceregieli od razu zasiedli do kart. Panie, usadowiwszy się wygodnie na sofie, dzieliły się wrażeniami z urlopowych wojaży. Wszystkie trzy przybyłe obnosiły na sobie nie tylko oryginalną, egzotyczną biżuterię, ale także wspaniałą opaleniznę, której z pewnością nie nabywa się w polskim klimacie. Rzeczywiście, jak wynikało z rozmowy, panie spędziły wakacje nad dalekimi morzami: w Egipcie, Grecji i Maroku.

– A wy, Krysiu, jak zawsze, Jurata? – Inżynierowa nie mogła ukryć lekkiego przekąsu w głosie.

– Tak, wiesz, jak Tadeusz dobrze się tam czuje. Odpowiada mu kapryśny klimat polskiego morza. Spokój, cisza, puste plaże...

W tym momencie od stolika brydżowego dobiegło głośne:

– Siedem bez atu!

Panie, zaciekawione tą nieczęstą odżywką, poderwały się ze swoich miejsc i podeszły do graczy. Przez chwilę obserwowały licytację, potem, stojąc za krzesłami swoich mężów, kontynuowały przerwana rozmowę.

– Hel jest pięknym miejscem, to takie Hawaje Europy – przyznała mecenasowa. – I te prawie puste plaże od strony morza, bo wszyscy szaleją na deskach na Zatoce. Można spokojnie wypocząć.

– No w tym roku raczej nie obyło się bez mocnych wrażeń. – Inżynierowa podniosła nieco głos.

– Tak? A co się działo? – zainteresowały się jak na komendę pozostałe panie.

– Jak to, nie wiecie? Jakiś zboczeniec zamordował tam dwie kobiety! – wykrzyknęła już z pasją swoim wysokim głosem inżynierowa.

Bogucka spojrzała na męża. Ich wzrok skrzyżował się.

– Jakoś nic do nas do Juraty nie dotarło – powiedziała. – Ale może teraz dowiemy się czegoś.
Wybieramy się na Hel na kilka dni w sierpniowy długi weekend.

Rozdział XVI

Molo o tej porze było jeszcze puste. Głęboko zaczerpnęła powietrza. Lubiła być sama. Nikt z jej znajomych nie przypuszczałaby, że ta wesoła, hałaśliwa, o swobodnym sposobie bycia dziewczyna, przez niektórych uważana nawet za nieco ordynarną, lubi od czasu do czasu побыć sama ze sobą, z dala od wiecznie balującego towarzystwa. Tak było i tym razem.

Specjalnie przyjechała do Jastarni trzy dni wcześniej niż cała jej paczka. Chciała spokojnie zastanowić się, jak powinna pokierować swoim życiem. Bardziej czuła, niż rozumiała, że doszła do ściany. Pragnęła niezależności, ale na to było chyba za wcześnie. A może nie? Zarabiała wprawdzie niewiele, ale podwyżka pensji i to miała, była z chwilą ukończenia studiów absolutnie pewna. Wystarczy zaliczyć ostatni egzamin, który pozostawiła sobie na wrzesień. Z drugiej strony, czy te rysujące się wyższe dochody pozwolą na utrzymanie dotychczasowego poziomu życia? Z pewnością nie. Czy wobec tego będzie umiała obyć się bez tych wszystkich modnych fatalaszeków, drogich perfum, kosmetyków z najwyższej półki? Bez nagłych, niezaplanowanych wyjazdów w te wszystkie piękne zakątki świata, które udało się jej zwiedzić przez ostatnich kilka lat? Co zyska, jeśli z tego zrezygnuje?

Nie musiała długo się zastanawiać. Spokój i szacunek do samej siebie. Ta znajomość stawała się coraz bardziej toksyczna, a ona sama czuła się w tym wszystkim coraz bardziej brudna i zła. Nie chciała taka być. Przecież w gruncie rzeczy nie była taka. To los postawił na jej drodze tego człowieka i uczynił to w takim momencie jej życia, kiedy nie do końca umiała jeszcze odróżnić dobro od zła. Tak, przetnie ten węzeł. Poradzi sobie. Ułoży swoje życie od nowa. Nie potrzebuje jego pieniędzy. Ostatecznie zawsze przecież może liczyć na ciotkę, a właściwie na jej słynną rodową biżuterię.

Zrobiła nagły krok w tył i w tym momencie zderzyła się z kimś boleśnie plecami. Odwróciła się gwałtownie. Zobaczyła przed sobą roześmianą, piegowatą twarz.

– Przepraszam bardzo! – Stojąca przed nią niewysoka blondynka w sportowym stroju nadal, nie wiedząc czemu, szczyrzyła zęby.

– Nie widzę nic śmiesznego w tym, że mnie pani staranowała – burknęła Aneta.

– Naprawdę, bardzo przepraszam. – Blondynka pochyliła się, oparła dłonie na kolanach i oddychała ciężko po biegu. – To już drugi raz, jak na kogoś wpadam. I to tam, gdzie jest bardzo dużo wolnego miejsca. To jak z tym jednym jedynym słupem na parkingu, w który na pewno walnie kiepski kierowca – roześmiała się głośno.

Było coś zaraźliwego w tym jej szczerym, radosnym śmiechu, coś ujmującego w ładnej, piegowatej buzi, co kazało Anecie także się roześmiać.

– Aneta – wyciągnęła przed siebie rękę.

– Zuzanna.

Uścisnęły sobie dłonie. Stały naprzeciw siebie w kłopotliwym milczeniu. Pierwsza odezwała się Zuzanna:

– No dobra, to lecę dalej. Wracam do siebie.

– Daleko mieszkasz? – zainteresowała się Aneta.

– W pensjonacie Olymp. A ty?

– W hotelu, przy wjeździe do Juraty od strony Jastarni. Przyjechałam na rowerze. Miałam zamiar dojechać aż do Władka, ale zupełnie nie mam kondycji.

– Może warto wziąć się za biegi. To błyskawicznie poprawia kondycję.

– Nie wiem, czy dałabym radę, nigdy nie biegałam, nie mam nawet specjalnych butów, a z tego co słyszałam, nie powinno się biegać w zwyczajnym sportowym obuwiu.

– E tam, bez przesady. – Zuzanna machnęła lekceważąco ręką. – Ja biegam w zwyczajnych butach. Jak się biega po miękkim, w lesie czy po plaży, to nie ma to wielkiego znaczenia. Naprawdę warto spróbować. A może wybrałabyś się ze mną na biegi. Razem zawsze różnie, nie tak nudno.

– No nie wiem... – Zaskoczona propozycją Aneta nie kryła wahania.

Zuza, z natury pogodna i bezpośrednia, łatwo nawiązująca znajomości, nie dawała za wygraną.

– Nie daj się prosić. Dres, adidas na nogi i lecimy. Mogę jutro przyjechać do ciebie na rowerze, a potem razem pobiegamy po plaży. Umowa stoi? – zapytała z szelmowskim uśmiechem na piegowatej buzi.

W końcu i Aneta się uśmiechnęła.

– Stoi. Przyjeżdż tak około jedenastej. Będę czekała w holu na dole.

Rozdział XVII

Aneta postanowiła spróbować chociaż wejść na deskę, zanim dojadą jej znajomi. Wszyscy oni pływali lepiej lub gorzej, niektóre z dziewczyn naprawdę mogły zaimponować umiejętnościami ślizgania się na wodzie. Wcześniej sporo poczytała przeróżnych porad w Internecie. W wypożyczalni doradzono jej wybór sprzętu. Szeroka na metr deska miała też odpowiednią wyporność, miecz był otwarty, żagiel miał chyba ze cztery metry powierzchni.

Wiał leciutki wiaterek, a woda pod nią była głęboka nie więcej niż na metr, ale i tak wielokrotne próby utrzymania się na desce i wchodzenie raz po raz na pokład nieźle dawały jej w kość. Ale kiedy już po raz kolejny udało jej się, jak sądziła, całkiem swobodnie i dostatecznie długo utrzymać na nogach, postanowiła wreszcie postawić żagiel. Ustaliła kierunek wiatru, ustawiła deskę bokiem do niego i przerzuciła pędnik na zawietrzną. Rozstawiła szeroko stopy, wzięła fał w ręce i zaczęła z mozołem podnosić maszt. Była bliska sukcesu.

– Hurra! – krzyknęła radośnie sama do siebie i to rozsadzające ją uczucie radości to było ostatnie, co zapamiętała.

Rozdział XVIII

– Jak tak dalej pójdzie, to odbiorą nam śledztwo. – Sztuk strzelił papierami o blat biurka.

– Nie wygłupiaj się, niby dlaczego? – Zaniepokojony Kubik oderwał wzrok od ekranu komputera i przeniósł zdumione spojrzenie na komisarza.

– Nie do śmiechu mi. Stary kazał przygotować wszystko, co mamy. Obie zamordowane dziewczyny były ze stolicy, na kempingu mieszka właściwie sama Warszawka, sprawa wydaje się grubsza i nie wiem, czy skończy się tylko na rejonówce.

– Odsuną nas od sprawy?

– Nie, psiakrew, będziemy pewnie pomagierami, jak jakieś przygłupy! – Sztuk był wściekły. Zacerpnął już tchu, żeby tę wściekłość wyładować, kiedy zadzwonił telefon.

– Sztuk, słucham.

– Panie komisarzu, Zuzanna Grabowska do pana, nie chce powiedzieć, w jakiej sprawie – zameldował służbiście dyżurny, po czym dodał kordialnie: – Niecierpliwa!

– Łącz – warknął Sztuk do słuchawki.

– Mówi Zuzanna Grabowska – głos dziewczyny brzmiał poważnie. – Czy mogę się z panem spotkać? To znaczy... nie prywatnie... ja... ja mam bardzo ważną sprawę. Muszę z panem porozmawiać.

– Może pani przyjechać do komendy?

– Wolę spotkać się gdzieś w miasteczku.

– Dobrze. Za pół godziny u Chińczyka we Władku. Może być?

– Będę – słuchawka trzasnęła, Zuza gwałtownie skończyła rozmowę.

– Dlaczego nie zadzwoniła pani na moją komórkę?

– To proste. Nie dał mi pan swojej wizytówki. – Zuzanna przechyliła głowę i spojrzała na komisarza filuternie.

– Rzeczywiście. Muszę to nadrobić. – Sztuk wyjął wizytówkę z portfela i położył ją na stole przed Zuzanną. – Zaniepokoił mnie pani telefon. Brzmiała pani tak poważnie – powiedział z uśmiechem i zajął w oczy dziewczynie, spodziewając się dostrzec w nich filuterne błyski. Ale jej wyraźnie nie było do śmiechu. – Panią coś martwi – stwierdził raczej, niż zapytał. – Coś, o czym powinienem wiedzieć. Czy ma to związek ze sprawą?

– Sama nie wiem. – Zuza robiła wrażenie zamyślonej. – Jest coś, co nie daje mi spokoju, ale, no sama nie wiem... – powtórzyła. – Jeszcze pan pomyśli, że ma do czynienia z sensacją.

– Niech mi pani po prostu o wszystkim opowie. Wnioski wyciągnę sam i obiecuję, że nie pomyślę niczego, co by było dla pani niemiłe – próbował rozładować sytuację i nakłonić dziewczynę do mówienia.

Nie spodziewał się usłyszeć niczego ważnego, chciał pod pretekstem uważnego słuchania przyglądać się do woli tej ładnej buzi, obserwować błyski bursztynowych oczu, liczyć piegi na małym

nosku. Zuza zaczęła mówić. Sztuk początkowo nie słuchał uważnie, zatopił się myślami w swoich wyobrażeniach o tym, jak pięknie mogłoby być, gdyby... W pewnym momencie słowa Zuzy zwróciły w końcu jego uwagę. Ocknął się ze swoich marzeń.

– Czy może pani powtórzyć?

– Ale co mam powtórzyć?

– Wszystko od początku.

– Nie słuchał pan, wiedziałam. – Zuza była urażona i dała temu wyraz.

– Ależ słuchałem, słuchałem uważnie. Po prostu chcę usłyszeć jeszcze raz, może jakiś szczegół, który jest istotny, nie zwrócił mojej uwagi – skłamał na poczekaniu.

Zuza zaczęła więc od początku opowiadać o wszystkich niepokojących przygodach, jakie w ostatnich dniach spotkały jej nowopoznaną koleżankę. Tym razem Sztuk słuchał z uwagą.

Rozdział XIX

Sztuk skończył mówić i odruchowo sięgnął do kieszeni po papierosa. Komendant Wierzbę, siedzący po drugiej stronie biurka, się skrzywił:

– Darek, litości, tyle razy cię prosiłem, żebyś przy mnie nie palił, a najlepiej w ogóle rzuć to paskudztwo. Wiem, wiem co powiesz: jesteś wydolny, masz świetną kondycję, wszystkie testy zaliczasz na najwyższe oceny. Ale do czasu, młody, uwierz mi, do czasu. Dobra, czyli mówisz, że tych przypadków było za dużo?

Sztuk lubił i cenił swojego szefa. Ci, którzy mniej go znali, uważali Wierzbę za dobrotliwego safandulę. Mylili się. Wprawdzie komendant miał wszelkie cechy człowieka spolegliwego, bo był troskliwy i opiekuńczy wobec podwładnych, można było przyjść do niego z każdym problemem, nie tylko zawodowym, ale i prywatnym, i nikogo nie zostawił bez realnej pomocy czy choćby słów wsparcia i pocieszenia, to jednak w sprawach wykrywania przestępstw i ścigania ich sprawców był bezwzględny, nie ustawał w działaniu, nie przeoczył najmniejszego dowodu czy tropu.

– No tak. – Sztuk zrezygnowany schował papierosa. – Najpierw ten uszkodzony maszt, potem przecięte linki w hamulcach rowerowych. Zjechała wtedy na jezdnię, wprost pod koła samochodu, cudem uniknęła wypadku, tylko dzięki refleksowi kierowcy audi. Poza tym uważa, że jest obserwowana, że ktoś ją śledzi. Nie lekceważyłbym tego tak całkiem. Wszystko razem układa się jednak w niepokojący obraz.

– No dobrze, ale czego tu nie rozumiem. Jaki to może mieć związek ze sprawą morderstw na kempingu?

– No właśnie dosyć luźny, ale coś mi mówi, że to się może wiązać. Ta dziewczyna zazwyczaj pomieszkiwała w przyczepach właśnie na Żaglu, w tym roku wyjątkowo na kwaterze. Może to ona miała być ofiarą, może morderca się pomylił?

– Eee, naciągasz. Jakaś teoria jak z kiepskiego sztucznydła.

– Mam intuicję, że...

– Ty i twoja intuicja! Stary, pamiętaj, że jutro masz rozmowę z prokuratorem. Na razie my prowadzimy śledztwo, ale obawiam się, że Rogowski je przejmie, że nie będzie chciał zostawić tego w naszych rękach. To jednak dwa trupy – zakończył rozmowę Wierzbę.

Rozdział XX

Dzień zapowiadał się kiepski. Niskie chmury przykryły niebo, wiatr ustał i czuć było deszcz w powietrzu. Powietrze zrobiło się ciężkie od wilgotnego upału. W ciasnym mieszkaniu Sztuka nie było czym oddychać. Nawet gdyby mógł próbować zrobić w nim trochę przeciągu, nic by to nie dało przy bezwietrznej pogodzie.

Ale nie mógł, bo mieszkanie składało się z jednego pokoju i ślepej kuchni, okno było więc tylko jedno. I nic nie pomagało, nawet to, że wychodziło na zachodnią stronę. Czteropiętrowy blok, w którym Sztuk zamieszkał po sprowadzeniu się do Władysławowa, stał w pobliżu portu. W wietrzny dzień zapach z rybnego nabrzeża dolatywał do mieszkania. Przy czym słowo „zapach” Sztuk zawsze uważał za eufemizm.

Wyjął z szafy najlepszą koszulę, tę z mankietami na spinki. Wiedział, że prokurator Rogowski lubi i umie dobrze się ubrać. Starannym ubraniem chciał dodać sobie animuszu podczas trudnej rozmowy, jakiej się spodziewał.

Kiedy wychodził z domu, zaczynało się ściemniać. Nie wziął parasola, więc teraz skulony przebiegł przez parking do samochodu. Posłuszny opel odpalił od razu. Sztuk włączył radio. Rano nie zdążył wysłuchać wiadomości. Zawsze obiecywał sobie, że zainstaluje radio w łazience, bo to było jedyne miejsce, gdzie szykując się do pracy, mógłby dowiadywać się, na ile świat zmienił się od poprzedniego wieczora.

Jechał powoli, nie spieszył się, bo przewidując korki na drodze do Pucka, wyszedł z domu ze sporym zapasem czasu. Pod budynek prokuratury rejonowej podjechał na dziesięć minut przed umówionym spotkaniem. Wyjął z teczek dokumenty i po raz kolejny doszedł do wniosku, że nic właściwie w nich nie ma. Wiedział, że na podstawie zebranych dowodów Rogowski, wydając postanowienie o wszczęciu postępowania, może odebrać mu dochodzenie. A tego by nie chciał. Nie tylko dlatego, że sprawa była frapująca i poruszyła w nim dawno uspijony instynkt łowczego, ale także z uwagi na osoby z nią związane. A właściwie ze względu na jedną, szczególną osobkę. Dlatego postanowił w rozmowie z prokuratorem bronić do upadłego swoich racji i do budynku Prokuratury Rejonowej w Pucku wchodził w bojowym nastroju.

Rozdział XXI

Sztuk mówił krótko, bo przecież niewiele miał do powiedzenia. Rogowski pomyślał chwilę.

– A więc nie macie nic, ani motywu, ani podejrzanego, nic, tylko dwie zamordowane dziewczyny! Są już wyniki sekcji?

– Czekamy.

Prokurator przestał krążyć po pokoju. Usiadł za biurkiem, twarzą w kierunku okna.

– Zdaje pan sobie sprawę, panie komisarzu, że śledztwo w sprawie morderstwa powinien prowadzić sam prokurator. Skorzystałem z możliwości dopuszczającej wyjątki i powierzyłem je wam. Wierzyłem, że jako miejscowi macie większe rozeznanie, znajomość środowiska, lokalnych powiązań. Ale przeliczyłem się. Do dzisiaj nie posunęliście się ani o krok. – Chwilę milczał, po czym odwrócił się i spojrział komisarzowi prosto w oczy. – Daję panu dwa tygodnie, czternaście dni – wycedził przez zęby. – Potem ja przejmuję śledztwo.

Sztuk wbiegł do komisariatu, pokonując po dwa stopnie. Rzucił krótkie „cześć” schodzącemu akurat po schodach oficerowi dyżurnemu. Po rozmowie z prokuratorem Rogowskim był wściekły na siebie, na swoich podwładnych i na wszystkich dookoła. Nie wierzył, że w ciągu dwóch tygodni uda mu się zrobić jakiś istotny krok w śledztwie. Nikt z wczasowiczów niczego nie widział ani nie słyszał, jedyny podejrzany, jak się okazało, miał alibi. Zabezpieczone ślady prowadziły donikąd. Nie spodziewał się, żeby sekcje coś wykazały. Już na pierwszy rzut oka wiadomo było, że to uduszenie. Ofiary nie nosiły śladów gwałtu czy jakichkolwiek czynności seksualnych dokonanych przed ich zamordowaniem czy po nim. Słowem nic, czego mógłby się uchwycić.

Rozdział XXII

Lato w tym roku trzymało się mocno. Choć była już połowa września, upał wciąż dawał się we znaki. Szczególnie tutaj, na rozgrzanym chodniku pomiędzy wysokimi kamienicami ulicy Wilczej powietrze aż pulsowało od nagrzania, a poruszane lekkim wiatrem płachty, które osłaniały rusztowania na niektórych z nich, wzniewały tumany pyłu, który przyklejał się do spoconej szyi i osiadał na policzkach. W Warszawie trwały jeszcze rozpoczęte wczesną wiosną remonty.

Sztuk szedł niespiesznie. Przeszedł już kawałek drogi od Alei Ujazdowskich, przeciął Marszałkowską i powoli zbliżał się do Emilii Plater. Właściwie nie wiedział, dlaczego na miejsce swojego krótkiego przecież urlopu, wybrał właśnie stolicę. Kiedy stary, jak nazywali między sobą komendanta Wierzbę, wezwał go do siebie i właściwie wydał polecenie służbowe, żeby wziął kilka dni urlopu, nawet się ucieszył. Sam by na to nie wpadł. A przecież od jakiegoś czasu snuł się sfrustrowany po komendzie, czepiał się każdego o byle głupstwo, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Rogowski odebrał mu w końcu śledztwo i z tego, co wiedział, sprawa i tak nie ruszyła do przodu.

Kiedy wsiadał we Władysławowie do pociągu, nie myślał jeszcze o tym, ale z każdym mijanym kilometrem był coraz bliższy podjęcia decyzji, żeby zaraz po przyjeździe zadzwonić do Zuzanny i poprosić o spotkanie. Jednak chociaż w Warszawie był już od czterech dni, to dopiero wczoraj odważył się wybrać numer Zuzanny.

Nie zdziwiła się, kiedy usłyszała jego głos w telefonie, tak jakby czekała na kontakt od niego. To raczej jego zdziwiło to, że przeszła do porządku dziennego nad tym, że jest w Warszawie i że chciałby się z nią spotkać. Umówili się w kawiarni w Marrioticie. Przejście z Hotelu Ibis, w którym się zatrzymał, do przystanku autobusowego zajęło mu nie więcej niż dziesięć minut. Wysiadł w Alejach Ujazdowskich w pobliżu Ambasady Stanów Zjednoczonych. Dalej szedł już pieszo. Trochę bał się tego spotkania. Pomyślał, że Zuzanna będzie rozczarowana, kiedy usłyszy, że odebrano mu śledztwo i że nadal nic nie wiadomo w sprawie dwóch morderstw popełnionych na kempingu. Dlaczego więc poprosił ją o spotkanie? Takiego pytania obawiał się najbardziej.

Myślał, że będzie pierwszy. Przecież specjalnie dużo wcześniej wyszedł z hotelu. Tymczasem, już kiedy wszedł do holu i spojrzał w prawo, dostrzegł Zuzannę siedzącą w głębi sali. Nie zauważyła jego wejścia. Zatrzymał się, żeby móc bezkarnie jej się przyjrzeć. Wyglądała jakos inaczej niż tam, na Helu.

Miała na sobie prostą, białą sukienkę bez rękawów, na stopach brązowe sandaalki. Pasek bucików okalał jej szczupłą kostkę. Nawet z tej odległości widział pomalowane na czerwono paznokcie u stóp. Najbardziej zmieniła ją fryzura. Schludny kok nisko na karku zastąpił rozwiane podmuchem morskiego wiatru rozpuszczone włosy. Wyczuła chyba jego wzrok, bo podniosła głowę znad ekranu telefonu i spojrzawszy wprost na niego, wesoło zamachała ręką. Podeszła szybko.

– Dzień dobry. – Wyciągnęła do niego rękę nad stolikiem.

Lecko, nerwowo uściśnięła szczupłą dłoń. Usiadł naprzeciw dziewczyny. Przechodząca obok kelnerka przyjęła zamówienie: kawa dla niego i sok dla Zuzy. Przez krótką chwilę patrzyli na siebie, uśmiechając się z zakłopotaniem. Pierwsza odezwała się Zuzanna:

– Co pana sprowadza do Warszawy, czyżby śledztwo przeniosło się na nasz stołeczny grunt?

O masz! Właśnie tego się obawiał. Postanowił od razu, jak najszybciej wyjaśnić sprawę.

– Nie prowadzę już śledztwa, przejęła je prokuratura w Pucku. Na razie wszystko stoi w martwym punkcie. A ja... cóż, mam kilka dni urlopu i postanowiłem spędzić je w Warszawie – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Nawet jeśli się zdziwiła, nie okazała tego. Powiedziała tylko po prostu:

– Cieszę się, że pan zadzwonił i że znowu się widzimy – i od razu przestraszyła się swojej odwagi.

Po tych słowach Sztuk odprężył się i spojrzał pogodnie w oczy Zuzanny. Zaczęli rozmawiać o wszystkim i o niczym, jak starzy znajomi, którzy dawno się nie widzieli. Zanim się spostrzegli, minęła godzina.

– Może się przejdziemy? – zaproponował Sztuk, kiedy uregulował rachunek.

Chętnie się zgodziła. Z Emilii Plater skręcili w Wilczą. Szli niespiesznie w kierunku Alei Ujazdowskich i dalej w prawo, w kierunku Łazienek. Rozmawiali o mijanych po drodze pałacach i willach, zachwycali się ich urodą i klimatem, jaki wokół siebie roztaczają. Weszli do Łazienek Królewskich przez główną bramę. Zuzanna zaproponowała, żeby usiąść na ławce. Kiedy usiedli, powróciło zakłopotanie z pierwszych chwil spotkania.

– Cieszę się, że pan zadzwonił i że się spotkaliśmy – powtórzyła własne słowa Zuza.

Zanim zdążył odpowiedzieć, spojrzała na zegarek i aż krzyknęła z przerażenia:

– To już ta godzina?! Muszę natychmiast wracać do biura. Szef mnie zabije. – Poderwała się z ławki i wyciągnęła do Sztuka rękę. – Niech mnie pan nie odprowadza. Pobiegnę do bramy i zaraz złapię taksówkę.

– Może spotkamy się jutro? Wyjeżdżam dopiero za trzy dni. – zapytał szybko.

– Niestety, jutro wyjeżdżamy na cztery dni na cyklówkę. To takie spotkanie firmowe połączone ze szkoleniem. – Mina Zuzanny zdradzała, że naprawdę jest jej bardzo przykro.

Spojrzeli sobie w oczy. Nagle Zuza cmoknęła Sztuka w policzek, rzuciła krótkie „Lecę” i pobiegła alejką w kierunku bramy.

Długo za nią patrzył i czuł się jak idiota, który wypuścił z rąk okazję.

Rozdział XXIII

Ostatnie dni października były zimne i pochmurne. Na Bałtyku od tygodnia szalał sztorm, z Helu już dawno wywiało wszystkich gości. W pensjonatach liczone zyski, na kempingach traktory ściągały przyczepy w jedno miejsce, z dala od brzegu Zatoki, przy którym zimowe wiatry i wdzierająca się woda mogły je uszkodzić. Sezon się skończył. Z końcem lata, kiedy wody Bałtyku i Zatoki Puckiej ochładzają się, zanika intensywność żerowania ryb. Ale w strefie przybrzeżnej pojawia się duża flądra i „piaskowy dorsz”. Rybacy mają więc co robić. Jest to też niemała gratka dla wędkarzy, którzy jednak przy tak paskudnej, jak tego roku, pogodzie, wywodzą się raczej spośród lokalnych entuzjastów tego sportu.

Sztuk kończył właśnie dyżur, kiedy telefon zadzwonił tuż przy jego uchu.

– Komisarz Sztuk, słucham – rzucił ostro do słuchawki.

– Komendant pana wzywa, komisarzu – zabrzmiał równie krótki komunikat. Ale po chwili sekretarka dodała nieco protekcyjnie: – Ma pan się stawić natychmiast. Stary się bał, że pan już zszedł z dyżuru.

Sztuk wszedł do gabinetu komendanta Wierzby, miętosząc w wargach papierosa.

– Znowu! – Komendant krzyknął głośno, wznosząc oczy do sufitu.

– Przecież nie pałę.

– Ale niepotrzebnie się nakręcasz. Dobra, mniejsza z tym. – Wierzba machnął ręką. – Nakarm rybki, oddaj kota do sąsiadów, psa do schroniska czy co tam jeszcze masz. Pakuj się. Rano jedziesz do Warszawy.

– Nie mam żadnych zwierzków, przecież szef wie. – Sztuk mówił powoli, jakby potrzebował czasu na zrozumienie tego, co właśnie usłyszał.

– Jasne, że wiem. Słuchaj, Darek, bo nie mam czasu dwa razy powtarzać. Znajoma tej małej blondyneczki, tej, jak jej tam...?

– Zuzanny Grabowskiej.

– Właśnie. No wiesz, ta dziewczyna, której przytrafiały się latem dziwne przygody, które tak cię zaniepokoiły. No to ona nie żyje. Znalaziono ją dwa dni temu, na klatce bloku, w którym mieszkała. Udużona, prawdopodobnie własną apaszką. Z torebki nic nie zginęło. Chłopaki znaleźli w niej stary rachunek za pokój w hotelu w Jastarni z numerem telefonu do tej Grabowskiej. Skontaktowali się z nią i to ona opowiedziała im o niebezpiecznych zdarzeniach z lata. Zadzwonili do nas dzisiaj. Zgodzili się, że być może przyda się twoja obecność przy dochodzeniu. Jedź więc jutro i pokaż tym ważniakom ze stolicy, że my tu we Władku nie gęsi i swój rozum mamy. A swoją drogą, skąd tak od razu wiedziałeś, że mówiąc o blondyneczce, mam na myśli tę Grabowską? Mało to blondyneczek kręciło się od lata po komendzie? – Wierzba uśmiechnął się dobroduszenie.

Rozdział XXIV

Sztuk zameldował się u naczelnika Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego już następnego dnia około trzynastej. Jerzy Gniewek, bo tak nazywał się naczelnik, był niewiele starszy od Sztuka, niewiele wyższy i niewiele tęższy. Za to miał wiele do powiedzenia.

– Moim zdaniem pokpiliście sprawę. Za dziewczyną musiał ktoś łączyć już wtedy, na Helu. Zlekceważyliście sygnały, o których zeznała nam Grabowska. Przecież wiedzieliście o nich. Dlaczego nikt ich nie sprawdził, dlaczego nie przydzieliliście Anecie Mazur cienia? – Gniewek naprawdę gniewnie wyrzucał z siebie pytania.

Sztuk czuł, że i w nim narasta gniew. Słowa Gniewka bolały go, bo wiedział, że są niesprawiedliwe. Postanowił się bronić i choć nie udzielono mu głosu, nie czekał, aż Gniewek skończy swoją tyradę.

– Na Helu nic właściwie się nie wydarzyło. Zanim cokolwiek można było zweryfikować, dziewczyna wróciła do Warszawy. Co mieliśmy sprawdzać, jak, za kim chodzić i po co? – wyrzucił z siebie.

I zaraz pomyślał, że za bardzo się usprawiedliwia. Tak jakby się tłumaczył, a przecież nie miał z czego. Jednocześnie był zły, że wtedy łatwo dał się spławić Wierzbie, który zbyt sceptycznie podszedł do rewelacji zatroskanej Zuzanny.

– Dobrze, dajmy już spokój. – Gniewek nagle zmienił ton. – Teraz trzeba wyciągnąć co się da z ciotki denatki. Pojedziecie do niej z porucznikiem Kowalskim z naszego wydziału. Stara jest załamana, ta Aneta to była jej jedyna krewna i tylko poprzez nią, jak się zdaje, utrzymywała jeszcze jako taki kontakt ze sprawami tego świata.

Rozdział XXV

Sztuk rozglądał się dyskretnie po niewielkim saloniku. Pokój był ewidentnie przeładowany meblami, a jednak nie sprawiał wrażenia zagraconego. Może dlatego, że meble, choć nie pochodzące z jednego kompletu, harmonizowały ze sobą, wywodziły się, a raczej nawiązywały, do stylu chippendale. Sztuk wprawdzie nie znał się na antykach, ale nie przypuszczał, żeby w tym skromnym mieszkanku na Starej Ochocie, u niezamożnej starszej pani o dość pospolitym nazwisku salon zdobiły oryginalne antyki. Co innego liczne bibeloty w serwantce, kredensiku i na komodzie, a nawet na czeczotowym stolczku pod lampą. Te bez wątpienia swoim rodowodem sięgały bardzo daleko wstecz. Świadczyły być może o tym, że ich obecna właścicielka, w czasach prosperity, nabywała je, z pietyzmem wybierając pośród różnej wartości staroci na pchlich targach czy nawet w salonach stołecznych antykwiariatów. A może czynił tak jej świętej pamięci małżonek, którego portret wisiał na ścianie. Sztuk w myślach wzruszył ramionami.

Weronika Mazurowa, drobna, skulona, w czarnej sukni z niewielką srebrną broszką wpiętą w koronkowy żabot u szyi, przysiadła na brzeżku pluszowego fotela. Sztuk i porucznik Kowalski usiedli opodal na krzesłach przy stole. Czekali, aż pani Weronika uspokoi się nieco. Od śmierci jej bratanicy upłynęły wprawdzie cztery dni, ale kobieta wydawała się nadal pogrążona w pierwszym szoku. Delikatnie osuszyła nos chusteczką i podjęła przerwany wątek.

– Tak, zachowanie Anetki zmieniło się czas jakiś temu. Lepiej się ubierała, choć tym łaszkom, jakie na siebie zakładała, daleko było do eleganckich, ale podobno, jak mówiła, były modne, więc chyba i drogie. Często wyjeżdżała na wycieczki, nawet zagraniczne. No i nie chciała przyjmować ode mnie pieniędzy, a przecież przez tyle lat bez oporu korzystała z mojego wsparcia.

– Jak pani myśli, skąd pani Aneta miała pieniądze?

– Nie wiem. – Pani Weronika spuściła głowę i poprosiła słabym głosem: – Proszę mnie już nie męczyć.

Opuszczali mieszkanie Weroniki Mazur właściwie z niczym. Starsza pani powtarzała tylko, że Anetka to było dobre dziecko i że absolutnie nie mogła mieć wrogów. Wyszli na klatkę schodową i wtedy drzwi sąsiedniego mieszkania uchyliły się nieco. W szparze ukazała się twarz niemłodej, tęgawej kobiety. Grzywkę miała nawiniętą na dwa różowe wałeczki, reszta siwych włosów zwisiała jej swobodnie wokół pomarszczonej twarzy.

– Panowie z policji – stwierdziła raczej niż spytała. – Straszna sprawa z tą krewną pani Mazurowej. Ale ja coś czułam, że się rzeczy dobrze nie mają.

– O, to widzimy, że pani sporo wie o życiu i dobry umie zrobić z tego pożytek. – Sztuk odezwał się szybko, zanim porucznik Kowalski zdążył otworzyć usta. Ten zrozumiał w mig, do czego zmierza komisarz. – Pewnie mogłaby nam pani niejedno powiedzieć – dodał.

– A pewnie. Ale przecie nie będziemy tak tutaj rozmawiać, jeszcze kto zobaczy. Wejdźcie, panowie, to drzwi zamknę. – Genowefa Kowalska nie kryła zadowolenia.

Weszli do ciemnego przedpokoju. Gospodyni wyraźnie nie zamierzała zaprosić ich w głąb mieszkania. Stali więc przy drzwiach.

– To skąd te pani złe przeczucia?

– A bo wcześniej to latała do ciotki regularnie co miesiąc, zaraz jak tylko listonosz emeryturę przyniósł. Ciotka jej dawała pieniądze, choć jak mi się zdaje, sama za dużo nie miała. Sprzątam u niej, to wiem. Mnie płaci grosze, ale mnie się każdy grosz przyda, to chodzę do niej. I zakupy jej robię, bo jej ciężko z domu wychodzić. A te zakupy to tylko tak, z dobrego serca, bo mi za to nie płaci. No to wiem, co każe sobie kupować. Jakieś serki topione, przecenione jabłka, najtańszą wędlinę. Tylko herbatę każe kupować drogą, pachnącą. Tego jednego sobie nie odmawia.

– To mówi pani, że ciotka wspomagała swoją bratanicę tylko do czasu? A kiedy przestała? I dlaczego, pani zdaniem? – pospieszył wywody Kowalskiej Sztuk.

– No kiedy przestała? – Kowalska się zastanowiła. – Będzie już z rok albo więcej. Wiem, bo za przeproszeniem, głupia ciotka, martwiła się, że jej Anetka pieniędzy już od niej nie bierze, no i przychodzi coraz rzadziej. Ale nie powiem, nie tak, żeby nieboszczka całkiem o ciotce zapomniała. Odwiedzała ją, ja tam w sądach o ludziach sprawiedliwa jestem. Tyle że wpadała na krótko, zakręciła się jak fryga po mieszkaniu, chwilę porozmawiała i już ją niosło dalej. Pieniądzy, jak mówię, już nie brała. A skąd miała? – Kowalska wzruszyła ramionami. – A kto ją tam wie. Ciotka mówiła, że mężczyzna przy niej jest, stateczny i bogaty. To jakie dobre rzeczy mogą z takiego bezceństwa wynikać? Stary chłop, łasy na dziewczęce wdzięki, i dziewucha, co z tego korzysta. Co, nie mówiła panom Mazurowa? – dodała, widząc ich zdziwione spojrzenia.

Weronika Mazurowa nie kryła zdziwienia, że widzi ich ponownie. Niechętnie wpuściła ich do środka.

– Ja już wszystko powiedziałam. Proszę, zostawcie mnie, panowie, w spokoju – poprosiła słabym głosem, kiedy już usiedli w salonie.

– Nie chcemy zabierać pani czasu, musimy jednak ustalić jeszcze jedną rzecz. – Sztuk starał się sprawiać wrażenie jak najbardziej delikatnego i współczującego, choć trudno było mu panować nad podnieceniem. Czuł, że dzięki byłej dozorczyńni wreszcie złapali odpowiednią nitkę, a właściwie jakąkolwiek nitkę, bo do tej pory kręcili się jak ślepcy. Ciągnął więc dalej spokojnym głosem: – Mówiła pani, że od jakiegoś czasu pani Aneta nie chciała już przyjmować od pani wsparcia finansowego. Czy pamięta pani, kiedy mniej więcej to nastąpiło?

Starsza pani zapatrzyła się w okno. Długo trwało, zanim się odezwała. Wydawało się im już, że jej myśli poszybowały gdzieś daleko i nie dotyczą sprawy, o którą zapytali. Kiedy w końcu się odezwała, jej głos był mocny, a spojrzenie bystre.

– Będzie już ze trzy lata. Na początku studiów brała chętnie. Chciała dobrze wyglądać w nowym środowisku. Nie mogła przecież pokazywać się w towarzystwie kolegów z lepszych domów w starych dżinsach i wciąż tych samych dwóch sweterkach. Rozumiałam to. – Słowo „dżinsy” wymówiła z lekkim ociąganiem, widać było, że nie jest pewna, jak powinno zabrzmieć. – Potem sama zaczęła zarabiać na swoje potrzeby, mówiła, że ma zlecenia ze studenckiej spółdzielni. Ale co w niej robiła, tego nie wiem – uprzedziła ich pytanie.

– Nie zdziwiło pani, że tych pieniędzy ze zleceń wystarcza jej na drogie ubrania, wyjazdy, pobyty w spa?

Spojrzała na nich jakby wylękniona.

– Nie – odpowiedziała cicho i dodała zmieszana: – Nie znam się na tym. Jestem już stara, bardzo stara, dajcie mi spokój. – Ostatnie zdanie zakończyła ze złochem.

Rozdział XXVI

Po powrocie na komendę obaj zameldowali się u naczelnika Gniewka. Wysłuchał ich w skupieniu, po czym zarządził:

– Za piętnaście minut wszyscy z wydziału w sali konferencyjnej.

– I tyle masz nam do powiedzenia? – Kowalski pozwolił sobie na prywatną odzywkę do szefa.

– Teraz tyle. Musimy wszyscy pogłównkować i ustalić, co robimy dalej – powiedział pojednawczo Gniewek.

Sala, szumnie nazywana konferencyjną, z trudem mieściła osiem osób, które zgromadziły się wokół owalnego stołu. Oprócz Gniewka, Kowalskiego i Sztuka, siedziała cała ekipa Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego. Zastępcą naczelnika okazała się korpulentna, około czterdziestoletnia nadkomisarz Jolanta Zawadka. Nadkomisarz Wojciech Tomaszewski został przedstawiony po prostu jako ekspert. Kierownikiem Referatu do walki z Przystępczością Przeciwko Zdrowiu i Życiu był niepozorny, szczupły, łysiejący okularnik, aspirant sztabowy Artur Masny. W naradzie uczestniczył też ekspert z Zespołu Techniki Kryminalistycznej i Statystyki Przystępczości i, na wszelki wypadek, aspirant Wiesław Łukaszczyk, z Referatu do walki z Przystępczością Przeciwko Mieniu. Naradę rozpoczął Gniewek.

– Podsumujmy, co już wiemy. A wiemy niewiele. Denatka odwiedzała ciotkę regularnie, zazwyczaj w dniach wypłaty emerytury. Korzystała ze wsparcia finansowego starszej pani. Od jakiegoś czasu wizyty stały się rzadsze, choć przyznać trzeba, że dziewczyna zachowywała się w porządku, wpadała do ciotki teraz już bezinteresownie, wyraźnie po to, żeby starszuszka nie czuła się samotna. Można powiedzieć, że denatka chciała mieć czyste sumienie i kierowały nią uczucia wyższe. Po prostu nie okazała się człowiekiem bez serca. Wiemy, że pomimo iż nie brała pieniędzy od ciotki, stać ją było na coraz bardziej luksusowe rzeczy. To nie tylko drogie ciuchy, ale i biżuteria czy wyjazdy. Ciotkę utrzymywała w świadomości, że doskonale zarabia w studenckiej spółdzielni. Starsza pani jest łatwowierna, a zresztą może nie chciała niczego się domyślać, tak było jej wygodniej. Wszystko wskazuje na to, że denatka znalazła doskonałe źródło utrzymania. Kiedy, jakie? To musicie jak najszybciej ustalić. – Gniewek omiół wszystkich wzrokiem.

– Z tego, co mówi Mazurowa, można wywnioskować, że denatka zaczęła być samowystarczalna mniej więcej w połowie pierwszego roku studiów – zabrał głos Kowalski. – Trzeba przyjąć, że potrzeba było trochę czasu do nawiązania silniejszej więzi, a jeśli tak, to mogła poznać kogoś już na początku studiów. Trzeba dotrzeć do ludzi z jej wydziału, popytać, może ktoś coś wie, coś zauważył. Wiem, że to mało, ale może złapiemy jakąś nitkę.

– Ktoś ma inny pomysł? – Gniewek spojrział na Sztuka. Sztuk pokręcił przecząco głową. – W takim razie kończymy, a panowie, do roboty – to ostatnie skierowane było do Sztuka i Kowalskiego.

Rozdział XXVII

Wydział Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego mieścił się przy ulicy Stawki. Sztuk z zainteresowaniem rozglądał się w czasie jazdy. Po raz pierwszy znalazł się na terenach dawnego getta. Odczytywał z tabliczek charakterystyczne nazwy ulic, które znał z lektur historycznych książek, jakimi jeszcze w liceum wprost się zaczytywał. Dzika, Niska, Miła, Anielewicza, Nalewki. Od strony Zamenhofs ukazał się potężny budynek Muzeum Żydów Polskich Polin. Nowoczesna bryła nie zrobiła na Sztuku dobrego wrażenia. Nie rozumiał symboliki wysokiego, pochylonego, przeszklonego wejścia. Obiecał sobie, że kiedyś w wolnej chwili wybierze się do tego muzeum.

Dojechali na miejsce. Weszli do ponurego, szarego gmachu. W dziekanacie siedziała kobieta około czterdziestki. Można by nawet nazwać ją ładną, gdyby nie potężna tusza, którą bezskutecznie starała się ukryć w luźnej czarnej sukience, przypominającej raczej namiot niż kobiecej łasek. Spojrzała na nich i się uśmiechnęła, ukazując rząd równych białych zębów. Bez wątplenia uśmiech dodawał jej uroku.

– Panowie w jakiej sprawie? – Głos miała przyjemny, niski.

Wyciągnęli legitymacje i się przedstawili.

– Domyślam się, że w sprawie tragicznej śmierci pani Anety Mazur. – Nie wydawała się zdziwiona ani poruszona. – Czy chcą panowie rozmawiać z panem dziekanem?

– Nie, chcielibyśmy porozmawiać z jej kolegami i koleżankami. Ale najpierw, jeśli można, chętnie porozmawiamy z panią. – Widać było, że Kowalski stłumił uśmiech. Cała powierzchowność pani sekretarki wręcz prowokowała do tego, żeby się do niej uśmiechać, ale porucznik uznał, że okoliczności wymagają utrzymania surowej miny.

– Proszę, niech panowie usiądą. – Wskazała niewielki stolik pod ścianą, stały przy nim tylko dwa krzesła o drewnianych siedziskach i niklowanych nóżkach. Sama pozostała za biurkiem. – Ale nie wiem doprawdy, czy mogę w czymś pomóc. Nie pamiętam dobrze tej dziewczyny, nie kojarzyłam nawet jej twarzy. Dopiero po tym nieszczęściu z trudem przypominałam sobie, jak wyglądała.

– A może wie pani, z kim się przyjaźniła, czy miała jakieś bliskie koleżanki, kolegów?

– Nie, naprawdę nic o niej nie wiem. Tak, jak mówię, nie znałam jej i ledwo ją sobie przypominałam. Nie mogę panom pomóc.

Tym razem Kowalski pozwolił sobie na uśmiech.

– Nic nie szkodzi, to zrozumiałe. Czy może pani sprawdzić, czy jej grupa ma teraz zajęcia.

– Tak, oczywiście. – Poruszyła myszką komputera stojącego na biurku, postukała w klawiaturę. – Teraz mają przerwę, powinni być albo w bufecie w suterenie, albo pod salą dwadzieścia trzy.

– No cóż, dziękujemy pani. Gdyby jednak coś sobie pani przypomniła, to jest moja wizytówka. – Sztuk wyprzedził ruch ręki Kowalskiego, który sięgał do wewnętrznej kieszeni marynarki, pewnie po to, żeby wyjąć swoją.

– Komenda we Władysławowie? – Uniosła brwi w zdziwieniu po tym, kiedy zerknęła na podany jej przez Sztuka kartonik.

Teraz Sztuk uśmiechnął się do niej szeroko.

– Ano tak się złożyło. – Musiało jej wystarczyć takie tłumaczenie.

W bufecie kłębił się tłum. Część studentów siedziała przy stolikach, inni stali w kolejce przed ladą, jeszcze inni stali pod ścianami, trzymając w rękach plastikowe miseczki, z których parowała, sądząc po zapachu, nieśmiertelna fasolka po bretońsku. Sztuk i Kowalski rozejrzeli się bezradnie, nie bardzo wiedząc, jak wyłuskać osoby z roku Anety. W końcu Sztuk zaczepił przeciskającą się obok nich dziewczynę, która na jednym ręku trzymała ostrożnie tekturową tackę z naleśnikami, w drugim ścisnęła plastikowe nóż i widelec. Wyraźnie rozglądała się za w miarę wygodnym miejscem, żeby zjeść ten niewyszukany posiłek.

– Przepraszam. Przepraszam! – powtórzył głośniejsze, jednocześnie przytrzymał ją delikatnie za łokieć. Odwróciła głowę i obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

– Pogięło cię! Puszczaj – syknęła i już chciała dryfować dalej przez salę, kiedy Kowalski, stojący obok, zamachał jej przed nosem legitymacją służbową. Schował ją jednak tak szybko, jak wyciągnął, nie chciał wzbudzić sensacji.

– Tylko jedno pytanie – rzucił krótko. – Szukamy ludzi z roku zamordowanej Anety Mazur. Wiesz, którzy to?

– Te dwie dziewczyny i chłopak przy stoliku pod oknem. – Wskazała brodą w stronę roześmianej czwórki i pospiesznie przesunęła się do przodu, nie czekając nawet na „dziękuję”.

– Strasznie empatyczna, przejęta... – z przekąsem zauważył Kowalski.

– Ale też nie ciekawska – dodał Sztuk.

– Fakt. To co, przysiadamy się?

Podeszli do stolika i dyskretnie na krótką chwilę położyli legitymacje służbowe na blacie.

– Widzimy, że państwo skończyli już jeść. Możemy wyjść na moment na korytarz? Chcemy krótko porozmawiać we względnie spokojnym miejscu. – Sztuk odpowiedział na ich zdziwione miny i nieme pytania.

Na korytarzu było prawie pusto. Sale wykładowe mieściły się na piętrach, więc korytarz służył właściwie wyłącznie do przemieszczania się pomiędzy windą a bufetem. Stanęli pod ścianą, najdalej od windy.

– O co właściwie chodzi, zaraz zaczynamy zajęcia. – Chłopak nie krył wkurzenia całą sytuacją.

– Rozumiemy to. Wiemy, że byli państwo w jednej grupie z panią Anetą Mazur.

– A tak, straszna historia. Myślałam, że takie nie zdarzają się w realu. – Najniższa i najładniejsza z dziewcząt nie kryła poruszenia.

– Zapewniam panią, że zdarzają się o wiele straszniejsze. – Kowalski pragnął widać zachować zasadniczy, służbowy ton. – Czy byli państwo blisko z Anetą? Wspólne imprezy, wyjazdy, wspólna nauka? Cokolwiek, co mogło was zbliżyć?

– Nie, Aneta raczej trzymała się z boku. – Znowu ta ładniejsza pospieszyła z odpowiedzią. Pozostała dwójka przytaknęła kiwnięciem głowy.

– Była miła, ale wie pan, znajomych to miała poza uczelnią. Jakichś sportowców chyba. Ostatnio przychodziła z dużą torbą i wspominała kiedyś, że codziennie biega na siłownię, bo musi mieć dobrą kondycję. Nawet zażartowałam, że do wkuwania do egzaminów to raczej trzeba ćwiczyć mózg, a nie mięśnie, ale powiedziała mi, że w lecie szykuje się jej jakiś wyjazd nadmorski i musi mieć silne ręce i nogi. Nie pytałam dalej, bo to była taka krótka gadka, jak już się zbieraliśmy po zajęciach do wyjścia z sali. – Chłopak nadzwyczajnie się rozgadał.

Sztuk i Kowalski milczeli przez chwilę. Obaj zdali sobie sprawę z tego, że ich wizyta na uczelni niewiele wniesie. Wtedy właśnie odezwała się druga z dziewcząt.

– Aneta z kimś się prowadziła. To nie był chłopak od nas. To chyba w ogóle nie był chłopak. Musiał być starszy. Albo może był jakiś zramolały, taki stary malutki.

– Co pani ma na myśli? – Sztuk był szybszy, wystrzelił pytaniem, zanim Kowalski zdołał otworzyć usta.

– Sama nie wiem. – Dziewczyna jakby żałowała, że w ogóle się odezwała. Była wyraźnie skonfundowana.

– No ale coś sobie pani pomyślała, coś się pani przypomniało, zastanowiło... – Sztuk nie dawał za wygraną i niecierpliwie przynaglał dziewczynę.

– No, Aneta nosiła się jakoś tak po babsku, nie jak my wszystkie. Nie chodzi o to, że niemodne, ale po prostu, no tak, jakby miała ze czterdzieści lat. Wie pan, kostiumiki, jedwabne bluzki, szpilki. Wspominała czasem o filharmonii, teatrze. Nigdy o klubie czy dyskotecie. Tak, to musiał być jakiś starszy facet. No i musiała znać go już wcześniej. Bo taka inna od wszystkich, taka trochę damulka to ona już przyszła na rozdanie indeksów na pierwszym roku.

Dwie głowy przytaknęły, a trzy pary oczu wpatrywały się w obu policjantów jakby z nadzieją, że usłyszą coś ekscytującego, czym natychmiast podzielą się z resztą grupy. Ale Sztuk i Kowalski podziękowali tylko zdawkowo młodemu za pomoc i wyszli czym prędzej z budynku.

Rozdział XXVIII

Jechali w stronę komendy. Mimo dosyć wczesnej pory ulice były już zatłoczone. Kowalski sprawnie zmieniał pasy, samochód poruszał się płynnie, z jednostajną prędkością, dzięki czemu udawało się im na każdym skrzyżowaniu trafiać na zielone światło. Milczenie przerwał Sztuk.

– Macie tu „zieloną falę”?

Kowalski spojrzął na niego znad kierownicy z taką miną, jakby Sztuk zadał najbardziej niestosowne z wszelkich możliwych osobistych pytań.

– Raczej dyskotekę całodobową. Zielone, żółte, czerwone i w koło Macieju. Miała być zielona fala, ale gówno z tego wyszło. „Zielona fala jechać pozwala” – przedrzeźniał Kowalski. – W wymyślaniu hasel to oni są dobrzy – dodał zgryźliwie. – A teraz to po prostu mieliśmy fart – zakończył.

Sztuk pomyślał o swoim miasteczku. Kilka ulic na krzyż: Portowa, Żwirowa, Droga Chłapowska, no może jeszcze Kolejowa, te większe można policzyć na palcach jednej ręki. A jednak we Władysławowie też dobrze znali uciążliwość korków. Dawały się we znaki szczególnie latem, kiedy na Hel waliły tysiące turystów. Aż dziw, że półwysep nie zapadł się w wodę od tego gigantycznego obciążenia, jakie na sobie dźwigał.

Do komendy dojechali już, milcząc.

– Chodźmy coś zjeść, zanim spotkamy się ze starym – zaproponował Kowalski. Przeszli więc do stołówki.

Sztuk rozejrzał się dokoła.

– Gdzie ja to kiedyś czytałem? „Nadchodzi era estetycznych stołówek biurowych!”.

Kowalski nie podchwycił ironii, tylko skomentował ponuro:

– Tu jeszcze widać nie dotarła.

Usiedli przy stoliku, zamówiwszy wcześniej w bufecie dwa zestawy dnia: koperkowa, mielony z ziemniakami, buraczki, kompot.

– Danie wykwintne jak cała nasza kantyna. – Kowalski ewidentnie się rozluźnił. Rozpiął marynarkę, oparł łokcie o blat stołu i z apetytem zabrał się za dymiącą z talerza zupę, którą postawiła przed nimi obojętna na ich „dziękuję” pomocnica bufetowej. Z taką samą obojętną miną przyniosła za chwilę talerze z drugim daniem. Dopiero przy kompocie podjęli rozmowę.

– Właściwie niewiele mamy. – Kowalski zafrasowany pocierał nasadę nosa. – To, że ma grupkę znajomych, którzy wyciągnęli ją na sportowy wyjazd, wiedzieliśmy już od Zuzanny Grabowskiej. Przesłuchania tej grupy niczego nie wniosły. Poznali się wszyscy na siłowni, nie spotykali się poza nią, wpadli na pomysł wspólnego wyjazdu na windsurfing, tam też zbliżyli się tylko o tyle, o ile. Po tygodniu rozjechali się do swoich spraw. Od jesieni mieli wrócić na treningi na siłownię. O śmierci Anety dowiedzieli się z krótkiej notatki w prasie. To wszystko.

– Niestety. – Sztuk zamyślił się na chwilę. – Jedna rzecz nie daje mi spokoju. To, co powiedziała ta dziewczyna na wydziale, że jej zdaniem Aneta musiała mieć już kogoś, zanim rozpoczęła studia, i że to

musiał być ktoś starszy. To by znaczyło, że powinniśmy powęszyć wśród znajomych z liceum. Może ktoś coś będzie wiedział.

Rozdział XXIX

Ostre, październikowe słońce wdzierало się jasną strugą przez uchylone drzwi od tarasu i rozświetlało cały salon. Siedział przy niskim stoliku. Przed nim stała opróżniona do połowy butelka Ballantine'sa. Pochylona głowa, opuszczone ramiona, wzrok obojętnie wbity w podłogę, z całej jego postaci była rozpacz i rezygnacja. Miotaly nim skrajne uczucia. Rozpacz, tęsknota, żal ogarniający fizycznym wręcz bólem całe ciało mieszały się z uczuciem ulgi. Tego uczucia wstydzil się sam przed sobą. Chwilami nie widział przed sobą przyszłości, jakby doszedł do kresu swego życia. A po chwili świat jawił mu się jako otwarta księga, którą teraz może zapisywać od nowa.

Krystyna weszła do salonu szybkim krokiem i przystanęła zdumiona.

– Jesteś w domu? Tak wcześniej wróciłeś z pracy? Podeszła bliżej i delikatnie pogłaskała go po włosach. – Czy coś się stało, jakieś kłopoty w biurze? No co z tobą? – W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. – Dlaczego nic nie mówisz?

Wzdrygnął się, jakby dopiero teraz ją usłyszał. Spojrzał na żonę trochę nieprzytomnym wzrokiem, ale zaraz jakby się pozbierał i uśmiechnął gorzko.

– W biurze? Nie, nic, w biurze jak trzeba, w porządku. W życiu, w życiu nie w porządku – mówił coraz głośniej i szybciej. – W życiu nie jest jak trzeba, w prawdziwym życiu, rozumiesz?! – Teraz już prawie krzyczał.

– Proszę cię, uspokój się, jesteś przemęczony, połóż się, odpocznij. Zrobię ci kawy. I nie pij już więcej – to mówiąc, zabrała butelkę ze stolika. Wychodząc, odwróciła się jeszcze w drzwiach. – Zajmę się tobą i zaraz wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, kochany.

Rozdział XXX

– Nie jestem pewna, czy powinniśmy się spotykać – ton głosu Zuzanny przeczył jej słowom. – W końcu jestem świadkiem w sprawie.

Rozmawiali przez telefon.

– Nie jesteś żadnym świadkiem. Nie zostałam powołana przez sąd do złożenia zeznań czy wyjaśnień, nie byłaś też świadkiem żadnego przestępstwa. Żaden z ciebie świadek, głuptasie. – Nie był pewien, czy nie przesadził z tym głuptasem. Na szczęście usłyszał śmiech Zuzy w słuchawce.

– W takim razie, mój mądry komisarzu, gdzie i o której się spotkamy?

– Sam nie wiem, nie znam warszawskich restauracji, a chętnie zaprosiłbym cię na kolację w jakieś miłe miejsce. – Sztuk zawiesił głos. Zdawało mu się, że wieki trwało, zanim usłyszał:

– W takim razie spotkajmy się w miejscu, które mi wydaje się miłe. Ulica Hoża róg Palcu Trzech Krzyży. Będę machała z balkonu. Punktualnie o dziewiętnastej, potem jest już ciemno i nie zobaczyłybyś mnie. Pasuje?

– Hoża? Czy nie zapraszasz mnie przypadkiem do Prokuratury Generalnej?

– To całkiem drugi koniec ulicy. – Zuza także się śmiała. Po chwili ciepłym głosem dodała: – Głuptasie.

Mieszkanie wydawało się niewielkie, z przedpokoju mógł ogarnąć wzrokiem wejście do kuchni i pokoju na wprost. Było za to bardzo wysokie. W pokoju, do którego wprowadziła go Zuzanna, panował miły półmrok. Najwięcej blasku dawała wysoka lampa na mosiężnej nodze stojąca w rogu pokoju. Wielki abażur, okolony u dołu długimi frędzlami był żółty i to właśnie ten kolor sprawiał, że światło miało ten przyjemny, złocisty odcień. Obok, na dużym, pokrytym czarną skórą biurku, stała niewielka, alabastrowa lampa stołowa. Jej abażur był jakby miniaturową kopią wielkiego, żółtego kuzyna. W pokoju niewiele było mebli. Pod oknem stała całkiem współczesna kanapa okryta puchatą, białą narzutą, fotel uszak prosto z Ikea i niewielki stolik, pokryty lekko zużyтым brązowym fornirem. Na jednej ze ścian, na brązowych, nieco sfatygowanych półkach stały książki i płyty CD. Surowe, lniane zasłony były zaciągnięte.

– Wstawię kwiaty do wazonu, rozgość się, proszę.

Sztuk podszedł do półek. Czytał napisy na grzbietach książek. Była to przede wszystkim klasyka – okładki wskazywały, że egzemplarze Sienkiewicza, Prusa czy Reymonta to wydania sprzed co najmniej kilkudziesięciu lat – ale też okazał się zbiór prozy iberoamerykańskiej, który musiał być nabytkiem sprzed wielu dekad, bo głównie były to pozycje serii Wydawnictwa Literackiego, a więc z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

– To książki po moim dziadku. Odziedziczyłam je razem z mieszkaniem. – Zuzanna bezszelestnie pojawiła się za plecami Sztuka. – Moje muszą zadowolić się miejscem na podłodze.

Teraz dopiero Sztuk spostrzegł, że rzeczywiście, na podłodze, z boku biurka piętrzyły się trzy wysokie słupki książek. Przykucnęła przy nich, przechylił głowę tak, żeby móc odczytać tytuły. Były tam

głównie kryminały „made in Skandynawia”: *Pragnienie* Jo Nesbø, *Kluczowy świadek*, *Felicia zaginęła* i *Gdy morze cichnie* Jørna Liera Horsta, *Mężczyzna, który gonił swój cień* Davida Lagercrantza, *Czarownica* Camilli Läckberg. Oprócz tego kilka biografii popularnych aktorów, zauważył też *Miłość* Ignacego Karpowicza i *Rzeczy, których nie wyrzuciłem* Marcina Wichy. Nie znał tych pozycji, słyszał o nich tylko w audycjach radiowych, czytał też recenzje w jakimś tygodniku.

– Niewiele tego, wiem. – Zuzanna stała tuż za nim.

Sztuk podniósł się gwałtownie i znalazł się twarzą w twarz z dziewczyną. Spojrzeli sobie w oczy i oboje poczuli się niezręcznie. Pojawiło się między nimi napięcie, którego dotąd nie odczuwali tak wyraźnie.

Zuzanna odwróciła głowę w bok.

– Zaraz będzie kolacja – powiedziała cicho.

– Chyba nie jestem głodny. – Sztuk ujął w dłonie głowę Zuzanny i delikatnie odwrócił w swoją stronę.

Podniosła na niego wzrok. Zatopił się w tych bursztynowych oczach okolonych ciemnymi rzęsami, które teraz drgały, jakby poruszane podmuchem jego przyspieszonego oddechu.

Rozdział XXXI

– Nie nocowałeś w domu – stwierdził raczej, niż zapytał Kowalski, spoglądając dyskretnie na koszulę Sztuka. Sztuk spojrział na niego spode łba, ale uśmiechnął się przy tym. – Dobra, o nic nie pytam. Mam nadzieję, że znalazłeś też czas, żeby pomyśleć o sprawie.

– Owszem, myślałem i chyba coś wymyśliłem. – Sztuk włożył do ust papierosa, ale nie zapalił go, przesunął tylko w kącik ust.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że w najważniejszym momencie byłeś myślami gdzie indziej, ba, myślałeś o innych babkach, w dodatku nieżywych. – Kowalski zarechotał.

– Ale masz dowcip, stary!

– Dobra, przepraszam, jakaś głupawka mnie napadła. Mam wisielczy humor, bo czuję się, jakbym doszedł do ściany. Nie mamy się czego złapać.

– Myślę, że jednak mamy. – Sztuk wyjął papierosa z ust i zaczął mówić szybko, wyraźnie poruszony. – Wiemy od szefa, że oba śledztwa prowadzone przez inne komendy w sprawie dwóch dziewczyn zamordowanych na kempingu utknęły w martwym punkcie. Nie mają nic, żadnych świadków, żadnych tropów, śladów, powiązań, nic niezwykłego, co poprzedzałoby morderstwa. Obie ofiary wydają się przypadkowe. Nic ich też nie łączy. No oprócz tego, że spędzały wakacje na tym samym kempingu. Inaczej sprawy mają się w przypadku trzeciej ofiary. Aneta Mazur twierdziła, że ktoś ją obserwuje, te zamachy na nią też, w świetle późniejszych wypadków, nie były urojeniami egzaltowanej dziewczyny. Ona była ofiarą starannie wybraną.

– Zaraz, zaraz. – Kowalski podekscytowany poruszył się na krześle. – Sugerujesz, że dwie pierwsze ofiary to był kamuflaż, że miało to wskazywać na seryjnego mordercę psychola, a od początku chodziło o Anetę? Tylko, że jedno kompletnie mi nie pasuje. Anetę Mazur zabito w Warszawie, nie na Helu, nie na kempingu. Morderca tym samym jakby się odsłonił, niemal na tacy podał nam hipotezę, że to Aneta była prawdziwym celem. Jakoś mało to inteligentne.

– Ilu znałeś naprawdę inteligentnych morderców? Tacy są tylko w książkach.

– Może masz rację. To co robimy, gdzie nas to prowadzi? – Kowalski spojrział na Sztuka jak bezradne dziecko.

– Prowadzi nas prosto do szkoły, stary. Tam trzeba poszukać. Jeśli, jak mówili ci studenci, Aneta prawdopodobnie już przed studiami była z kimś związana, to może ktoś z kolegów z dawnych lat coś sobie przypomni.

Rozdział XXXII

Gabinet dyrektorki LO położonego w warszawskiej dzielnicy Włochy mieścił się na parterze budynku i był wyjątkowo duży. Okna gabinetu wychodziły na wewnętrzny dziedziniec szkoły. Przechadzało się po nim teraz kilka uczennic. Dziewczęta ubrane były dosyć swobodnie, wszystkie w czarne obcisłe leginsy, jednak szerokie, zakrywające pośladki bluzy w stonowanych kolorach i schludne fryzury świadczyły albo o tym, że dziewczęta z pewną dozą szacunku podchodziły do miejsca i sytuacji, w której się znajdowały, albo o tym, że dyscyplina w tym liceum nie była nadmiernie surowa, ale jednak pewne zasady uczniów obowiązywały. Oliwia Jaworska była zaprzeczeniem stereotypów surowej dyrektorki szacownej placówki dydaktycznej o długiej, sięgającej II Rzeczypospolitej tradycji. Niska, okrągłutka, spoglądająca życzliwie znad okularów, połyskujących, o dziwo, czerwonymi odbłaskowymi oprawkami typu Jerzy Owsiak.

– Mają panowie rację, nie tak znowu wiele lat upłynęło.

Siedzieli przy dużym owalnym stole, nad filiżankami parującej herbaty owocowej. Oliwia Jaworska raz po raz upijała łyk ze swojego naczynia, wyraźnie rozkoszując się smakiem naparu. Sztuk i Kowalski, porozumiewawczo spoglądając na siebie, niepewnie moczyli usta w filiżankach, marząc raczej o konkretnej mocnej czarnej herbacie, zamiast tego quasi-kompotu, który mieli przed nosem.

– Po panów telefonie poprosiłam o przyniesienie z archiwum dziennika klasy, do której uczęszczała nieszczęsna Anetka. – Pani Oliwia westchnęła ciężko. – Przyjrzałam się nazwiskom uczniów. Niektórych z nich pamiętam do dzisiaj, stanęli mi przed oczami jak żywi. Boże, co ja mówię! Panowie wybaczą, ale zbliżam się już do emerytury, wypuściłam z tych murów wiele roczników dzieciaków, ale to po raz pierwszy, kiedy jedno z tych dzieci ginie w tak tragicznych i niezrozumiałych okolicznościach. Bardzo mną to wstrząsnęło.

– Oczywiście, oczywiście. – Kowalski pospieszył z zapewnieniem. – Nie chcielibyśmy pogłębiać panu smutku naszymi pytaniami, ale sama pani rozumie...

– No tak.– Jaworska wzięła do rąk przygotowaną wcześniej karteczkę. – Z tego co się orientuję, dwie osoby z klasy Anetki nadal mieszkają w pobliżu szkoły. Wiedzą panowie, młodzież dojeżdżała z całej dzielnicy, nawet z odległych okolic, nie było przecież rejonizacji i liceum można było dowolnie wybierać. Ale wiele dzieci było też stąd, z okolicznych bloków i domów. Nie wiem, co stało się z większością, jak potoczyły się ich losy. Nadal jednak spotykam Agnieszkę Artz i Krzysia Bronisza. Agnieszka mieszka ze starymi rodzicami, opiekuje się nimi, nie wyszła za mąż. Krzysiek ma rodzinę i mieszka w mieszkanku po rodzicach, tu niedaleko, blok widać z okien korytarza po drugiej stronie.

Obaj poczuli przypływ adrenaliny. Może wreszcie, może to ten zwrotny moment, na który czeka się w każdym śledztwie. Spisali adresy obojga dawnych uczniów i pożegnali się pospiesznie z Oliwią Jaworską. Stanęli przed budynkiem szkoły. Sztuk miał już sięgnąć po papierosa, ale kiedy zobaczył, że grupka stojących nieopodal uczniów przygląda się im ciekawie, postanowił nie dawać złego przykładu.

– Kto powiedział, że Gwiazdka jest tylko raz w roku? – Kowalski zatarł ręce w przypływie radości. – Czuję, że wreszcie coś mamy. Wiesz, jak to jest między dziećmi, niby nikt się nikim nie

interesuje, ale jak przychodzi co do czego, to okazuje się, że to właśnie one wiedzą najwięcej o sąsiadach i znają wszystkie ploty z osiedla.

– Obyś miał rację. – Sztuk najwyraźniej był bardziej sceptyczny. – Chodźmy, jak Gwiazdka, to Gwiazdka, może zastaniemy ich w domach.

Rozdział XXXIII

Naczelnik Gniewek wyraźnie nie podzielał ich entuzjazmu. Siedział za swoim masywnym biurkiem i przyglądał się posępnie wyraźnie zadowolonym z siebie policjantom, którzy, choć przecież nie najmłodszy, składając przed chwilą raport zachowywali się jak nastolatki, którym nadarzyła się okazja kupna wymarzonego motocykla za bezcen. I właśnie tego się obawiał. Że ostatecznie cena będzie adekwatna do zakupionego gruchota, którym koniec końców nie da się jeździć. Czyli że złapany trop nie zaprowadzi ich do wymarzonego celu i nie przybliży do sprawcy. Kiedy skończyli mówić, spojrzeli na nich przeciągle.

– Podsumowując: oboje zeznali, że przed szkołą, przez kilka miesięcy, chyba codziennie, a przynajmniej kilka razy w tygodniu, parkował jasnoszary samochód, zdaniem tej – spojrzeli w notatki – Artz nawet elegancki, w którym siedział niepozorny facet. „Siedział, siedział i potem odjeżdżał”, znowu zacytował z notatek. Świadek mężczyzna twierdzi, że samochód to mazda premacy. Numeru rejestracyjnego nie pamiętają, nie zwrócili na niego uwagi. Wszystko działa się wiele lat temu, bo już na początku pierwszej klasy. Koniec. – Gniewek przeszedł na sarkastyczny ton – Gratuluję i współczuję. Tylko nie wiem, wam czy sobie, bo góra naciska, a my nadal drepczemy w miejscu. Czego chcecie szukać? Starej mazdy o nieznanym numerze, która już dawno mogła być po pierwsze, zezłomowana, a po drugie i najważniejsze – Gniewek podniósł się z fotela i jego wściekłe oblicze górowało teraz nad głowami policjantów – jaki, do cholery, mogła mieć związek z całym tym naszym głównym?!

Wrócili jak niepyszni do pakamerki Kowalskiego. Spotkanie z naczelnikiem zgasiło ich dobry nastrój. Nie mogli nie przyznać racji staremu, że wnioski z rozmów z dawnymi uczniami nie rozjaśniły obrazu sprawy i nie można było traktować ich poważnie. Kowalski usiadł ciężko na krześle i zagapił się w okno.

– Niech to diabli! – Sztuk huknął pięścią w ścianę i z przerażeniem stwierdził, że jest to tylko cienkie, gipsowe przepierzenie, w którym właśnie o mało co nie wywalił dziury.

– Czego się ciskasz, Darek, stary ma rację. Gówno mamy i w gównie siedzimy.

– Nie ma racji. Czuję, że musimy pójść tym śladem, tylko jeszcze nie wiem jak. – Sztuk przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem przodem do oparcia, twarzą zwrócony do Kowalskiego. – Pomyśl, wtedy tym dzieciakom facet wydał się podejrzany, mieli intuicję, że coś jest nie tak z tym jego przesiadywaniem przed szkołą. Zauważyli, że nie był młody. Tylko tyle. Przyjmijmy, że musiał być już dawno dorosłym mężczyzną. Miał niezły samochód, musiał mieć na niego kasę. Czyli miał dobrą sytuację materialną.

– Tak – wtrącił Kowalski ironicznie – mógł być równie dobrze spokojnym, uczciwie pracującym obywatelem na dość wysokim, niezłe płatnym stanowisku, jak i gangsterem wyszukującym małałaty do domów publicznych. Mógł też być tatusiem, który czekał na córeczkę, żeby odwieźć ją do domu po lekcjach, mógł też...

– Dobra, nie wysilaj się – przerwał mu zniecierpliwiony Sztuk. – Nic innego nie mamy. Możemy albo siedzieć z założonymi rękami, albo jednak spróbować pociągnąć za tę cienką nitkę. Zacznijmy od

twojego pierwszego pomysłu, czyli spokojny obywatel z niezłą pensją. Po co miałby przesiadywać przed szkołą, co lub jego obserwować?

– Dziewczyny? Podobają mu się maślaki? – odrzucił Kowalski.

– Może, nie wiem, załóżmy, że tak. Tylko się gapi czy łowi? I skąd przyjeżdża? W Warszawie jest kilkadziesiąt liceów. Dlaczego wybrał właśnie to?

– Bo jest blisko jego domu? Pracy?

– Raczej pracy. Bardziej jest to prawdopodobne. Gdyby to było blisko domu, ryzyko rozpoznania przez uczniów człowieka, który na co dzień mieszka w pobliżu, może nawet sąsiada, byłoby zbyt duże.

– Racja. Przyjrzyjmy się najbliższym zakładom pracy, poszukajmy. Zawsze to lepsze niż szukanie we własnej głowie tego, czego tam nie ma.

Kowalski dosiadł się do biurka i otworzył laptop. Sprawnie poruszał palcami po klawiaturze, a jego oczy wędrowały pospiesznie po ekranie w poszukiwaniu odpowiednich linków i wiadomości. Sztuk czekał, patrząc na ekran przez ramię Kowalskiego.

– Mamy porty lotnicze, Państwowe Zakłady Lotnicze, bazę lotnictwa transportowego, jednostkę wojskową, RKS Okęcie i kupę innych mniejszych i większych zakładów pracy. Szkoły, przedszkola, sklepy... Niech to szlag! – Kowalski był najwyraźniej rozdrażniony i zniechęcony.

– Odsuśćmy sobie na początek wojsko, za dużo kłopotów z formalnościami. Przyjęliśmy roboczo, że gość nieźle zarabiał. Klub sportowy? Może, ale raczej stawiałbym na związki z lotnictwem. W tej branży zawsze dobrze płacili. Musimy przyspieszyć poszukiwania. Góra się wścieka, a obawiam się, że i mnie za chwilę szef ściągnie do komendy. Proponuję, żebyś ty zajął się lotniskami, a ja poszperam w pezetelu. Co ty na to?

– Cwany jesteś, lotniska to tysiące pracowników, roboty na miesiące, a czasu mamy góra dwa, trzy dni. Ale dobra. Niech będzie i tak – przystał na propozycję Kowalski.

Rozdział XXXIV

W PZL strażnik, po dokładnym obejrzeniu legitymacji Sztuka, zadzwonił do działu kadr i poinformował, że komisarz z policji chciałby wejść na górę. Po dłuższej chwili z windy wysiadła długowłosa i długonoga dziewczyna i podeszła do Sztuka.

– To pan czeka? – Uśmiechnęła się do komisarza.

Kiedy przytaknął, bez słowa zaprosiła go gestem do windy, w kabinie nacisnęła przycisk z cyfrą dwa i dopiero wtedy ponownie z uśmiechem spojrzała na Sztuka. Na górę wjechali w milczeniu. Dziewczyna doprowadziła go do drzwi z napisem „Dział Kadr”. Weszli do sekretariatu i w tej samej chwili otworzyły się drzwi prowadzące do gabinetu dyrektora. W drzwiach stanął sam dyrektor kadr. Był to młody jeszcze, czterdziestokilkuletni mężczyzna, o gładko wygolonej twarzy. Lat dodawała mu łysina, a okalająca czaszkę tak zwana koronka posiwiałych kręconych włosów, czarny trzyczęściowy garnitur i lakierowane pantofle powodowały, że sprawiał wrażenie, jakby przeniósł się we współczesne czasy wprost z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Kiedy już usiedli w wygodnych fotelach, a na niskiej ławie przed nimi pojawiła się kawa i ciasteczka, wniesione przez sympatyczną sekretarkę, komisarz przeszedł do rzeczy. Dyrektor wysłuchał go uważnie, po czym rozłożył ręce w geście bezradności.

– Nie wiem, czy będę mógł panu pomóc. Poproszę dyrektorów departamentów i biur, żeby porozmawiali z pracownikami, może ktoś będzie coś pamiętał. Ale szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, o co mieliby pytać. Rozumiem, że jedyne pytanie będzie dotyczyło tego, czy nie przypominają sobie kogoś, kto osiem, dziesięć lat temu jeździł szarą mazdą.

– No tak, wie pan, to wcale nie jest takie rzadkie, że kojarzymy samochody z ich właścicielami. – Sztuk nie tracił nadziei. – Dziękuję za poświęcony czas i proszę o informację, bez względu na wyniki rozmów z pracownikami.

Dyrektor odprowadził komisarza do drzwi i wyszedł wraz z nim do sekretariatu. Wtedy coś jakby go tknęło i zwrócił się do swojej sekretarki.

– Pani Mario, a może pani pamięta, czy któryś z naszych pracowników miał kiedyś szarą mazdę, dosyć elegancki wóz?

– Niestety nie, panie dyrektorze.

Dyrektor spojrzał na Sztuka, jakby chciał powiedzieć: „No sam pan widzi, sprawa beznadziejna”.

Rozdział XXXV

Sztuk obudził się gwałtownie, jakby pod wpływem jakiegoś impulsu. Spojrzał na ekran telefonu i z przerażeniem stwierdził, że jest już siódma piętnaście. W komendzie miał być za godzinę. Zuzanna spała obok cichutko jak dziecko. Ona zaczynała pracę o dziewiątej, ale jeśli chciała zdążyć do biura w warszawskim Mordorze też już powinna być na nogach. Pochylił się nad śpiącą i leciutko pocałował ją w policzek.

– Nie, nie, nie, jeszcze troszeczkę – zamruczała.

– Wstawaj, kocie. Spóźnisz się do pracy, dochodzi wpół do ósmej.

Zuzanna momentalnie otworzyła oczy i oboje wyskoczyli z łóżka jak z procy. Na szczęście w obszernej łazience była i wanna, i kabina prysznicowa, mogli więc jednocześnie zrobić szybką poranną toaletę. Mimo że miejsca było sporo, objali się o siebie mokrymi ciałami, śmiejąc się przy tym i cmokając co chwilę w usta. Za całe śniadanie musiał im wystarczyć łyk soku pomarańczowego pociągnięty prosto z butelki. Przed klatką schodową zatrzymali się na chwilę. Sztuk przygarnął Zuzannę mocnym ramieniem i pocałował w czoło.

– Pędź, kochanie, nie dawaj satysfakcji temu twojemu gburowatemu szefowi.

Zuzanna popędziła do tramwaju, Sztuk skierował się do stojącego nieopodal samochodu. Kiedy zapinał pasy, w kieszeni spodni zadźwięczał dzwonek telefonu. Klnąc i wyginając się w przedziwny sposób, wysuwał aparat i nie spojrzawszy na numer dzwoniącego, szybko nacisnął zieloną słuchawkę.

– Komisarz Sztuk, słucham.

– Dzień dobry. Dzwonię z sekretariatu dyrektora Nawrockiego. – Kobięcy głos był niski, miał przyjemne brzmienie.

„Nawrocki, co za jeden?” – Sztuk myślał szybko, ale nie mógł skojarzyć nazwiska. Wahał się o sekundę za długo, bo jego rozmówczyni domyśliła się, że nie wie, o kogo chodzi.

– Był pan u nas wczoraj w zakładzie, panie komisarzu.

No jasne, ten miły facet w staroświeckim garniturze. Przypomniał sobie, że kiedy wczoraj na niego patrzył, pomyślał, że do kompletu brakuje mu tylko melonika i kaloszy wsuniętych na lakierki, żeby dyrektor bez dodatkowej charakteryzacji mógł wystąpić na planie filmu o życiu urzędników w przedwojennej Polsce.

– Tak, tak, oczywiście pamiętam. Czy pan dyrektor chciałby ze mną rozmawiać?

– Nie, to znaczy... Panie komisarzu, ja... myślałam jeszcze w domu o całej sprawie i przyszło mi do głowy, że... no, że może...

– Taaak...? – zachęcił Sztuk, choć z trudem panował nad zniecierpliwieniem. Wiedział już, że spóźni się do komendy. Oby tylko mógł przedstawić wiarygodne usprawiedliwienie.

– No więc pomyślałam, że może któryś ze strażników przy bramie będzie pamiętał ten samochód. Wie pan, oni tam siedzą w tej budce przy szlabanie, widzą, kto wjeżdża i wyjeżdża z zakładu.

Bingo! Co za kochana kobieta! Sztuk podziękował szybko za informację, upewnił panią sekretarkę, że dobrze zrobiła, dzwoniąc do niego, i że to wcale nie jest wiadomość bez znaczenia i czym prędzej się

rozłączył. Wybrał numer Kowalskiego. Tamten odebrał niemal natychmiast.

– Sztuk – rzucił do słuchawki, zanim Kowalski zdążył powiedzieć choć słowo.

– Widzę. Jeśli chcesz coś przegadać, zanim stanimy przed starym, to już za późno. Widzisz, która godzina?

– Nie, słuchaj. – Sztuk był wyraźnie podekscytowany. – Muszę natychmiast pojechać do pezetelu, jeśli nie uda mi się ustalić tego, czego spodziewam się dowiedzieć, w ogóle nie mam po co pokazywać się Gniewkowi. Powiedz mu, proszę, że złapałem właściwy trop w śledztwie, który wymaga natychmiastowego potwierdzenia, i że pojawię się na komendzie tak szybko, jak będzie to możliwe.

Kowalski milczał przez chwilę, po czym powiedział flegmatycznie:

– Oczywiście nie powiesz mi, o co chodzi, oczywiście. Po co miałbyś się wysilać i informować partnera o swoich poczynaniach.

W jego głosie nie było pretensji, pobrzmiwała w nim raczej tak charakterystyczna dla Kowalskiego nuta wisielczego humoru.

– Stary, naprawdę, no nie teraz. Ty też niczego nie raportuj naczelnikowi, powiedz tylko, że musisz poczekać na moje ustalenia i że jak najszybciej złożymy mu meldunek. Zrób tak, proszę, użyj swojego wdzięku, coś wymyśl, tak, żeby stary nie od razu cię zabił. – Sztuk się rozłączył, nie czekając na reakcję porucznika.

Mylił się, kiedy myślał, że wystarczy, że podjedzie pod budkę strażnika i przeprowadzi z nim rozmowę. Dyżurny odesłał go do sekretariatu dyrektora Nawrockiego, któremu w schemacie organizacyjnym przedsiębiorstwa podlegali wszyscy strażnicy, uparł się bowiem, że musi mieć zgodę dyrekcji na rozmowę z policją w godzinach pracy. Sztuk uznał, że to absurd, ale wołał nie dyskutować ze starszym panem, popędził na górę. Pani Maria odniosła się do sytuacji z dużym zrozumieniem, przygotowała krótkie pismo, weszła dyskretnie do gabinetu dyrektora, gdzie odbywało się poranne zebranie pracowników departamentu kadr, i wyszła, potrząsając w zwycięskim geście podpisanym przez dyrektora papierem. Sztuk miał ochotę pocałować ją w oba policzki, ale uznał, że byłoby to jednak zbyt poufałe. Podziękował tylko serdecznie i nie czekając na windę, popędził po schodach. Przez dziedziniec prawie biegł, starał się jednak zachować powagę.

Strażnik przyjrzał się uważnie podsuniętej przez Sztuka karteczce i gestem zaprosił go do środka budki. Usiedli na sfatygowanych, pokrytych wytartą ceratą krzesłach.

– No więc tak... – Strażnik zaczął niespiesznie, po tym, jak wysłuchał w skupieniu, o co chodzi i czego oczekuje komisarz. – Więc tak – powtórzył. – Ja tu jestem dopiero od trzech lat, odkąd przeszedłem na emeryturę. Przedtem pracowałem w Biurze Administracyjnym. Odpowiadaliśmy z kolegą za zaopatrzenie, funkcjonowanie sali poligrafii, ale głównie to do nas należała kontrola obiektu, no wie pan, czy nie ma jakichś uszkodzeń, awarii, a jak coś zauważyliśmy, to musieliśmy zawiadomić odpowiednie służby. To znaczy tak mieliśmy napisane w obowiązkach: „Zawiadomić odpowiednie służby”. A tak naprawdę to szliśmy do sekretarki szefa biura i mówiliśmy, co i jak. Czasem to już miałem dosyć tej roboty. Bo niby jakieś obowiązki miałem wpisane, ale tak naprawdę to byłem taki trochę od wszystkiego. „Panie Zdzisławie, kontakt w głównym korytarzu się obłuzował”, „panie Zdzisławie, trzeba by zmienić żarówki w damskiej toalecie na piętrze”, „panie Zdzisławie, pracownicy skarżą się, że czytnik kart w bocznym wejściu jakby się zacina” i tak w kółko, jak tylko coś, to zaraz „pan Zdzisław niech się zajmie”. No ale jak przyszedł czas emerytury, to trochę się przestraszyłem, jak będę dalej żył. Wie pan, ja samotny jestem, jakoś nie złożyło się w życiu, nie mam rodziny. Rozmawiałem nawet trochę o tym moim frasunku z panią Marią z sekretariatu dyrektora

Nawrockiego. To złota kobieta jest. Musiała coś szepnąć dyrektorowi, bo któregoś dnia mnie wezwał i mówi: „Panie Zdzisławie, tak i tak”, mówi, „może by się pan zgodził wziąć pół etatu jako strażnik na bramie?”. Nie wyściskałem go tylko dlatego, że znam swoje miejsce i wiem, jak należy się zachować. No i to było trzy lata temu i jestem tu od trzech lat.

„Szlag mnie trafi” – Sztuk pomyślał, że pokłady jego cierpliwości są na wyczerpaniu. Głośno zaś powiedział:

– To znaczy, że nie pamięta pan, czy ktoś z pracowników jeździł szarą mazdą? Nic się panu nie kojarzy?

– Ano nic. Tu na szlabanie za krótko jestem, a wcześniej, to pan wie, to duży zakład jest, nawet nie wszystkich się zna, a co dopiero samochody.

Sztuk już miał wychodzić, kiedy coś przyszło mu do głowy.

– A pana zmiennik od dawna tu pracuje? Może on będzie coś pamiętał.

– E, nie. On przyszedł tuż przede mną, jak stary Olczak odszedł na dobre na emeryturę. – Strażnik machnął ręką i podniósł się ciężko z krzesła.

– A ten Olczak, długo tu pracował?

– A chyba od zawsze, to znaczy od czasu, jak szlabany zamontowali na wjeździe, będzie tak w dziewięćdziesiątym szóstym czy siódmym – zastanowił się strażnik.

– Dziękuję panu. – Sztuk także podniósł się z krzesła i uściśnął mocną dłoń strażnika. – Bardzo mi pan pomógł.

– A bo ja zawsze taki pomocny dla wszystkich jestem – zakończył rozmowę strażnik.

Rozdział XXXVI

Rozmowa w gabinecie naczelnika Gniewka nie była tak nieprzyjemna, jak spodziewali się Kowalski i Sztuk. Naczelnik wysłuchał uważnie relacji komisarza i przyznał, że rozmowa ze starym Olczakiem może wnieść coś do śledztwa. Dostali więc błogosławieństwo na dalsze działania i całkiem uspokojeni wyszli z gabinetu szefa.

– Spodziewasz się, że adres, który dał ci kadrowy, może być jeszcze aktualny? Facet mógł się w najlepszym razie już dawno przeprowadzić, a w najgorszym już nie żyje – powątpiewał w powodzenie działań Kowalski.

– Mylisz się, w najlepszym razie to facet nadal mieszka pod starym adresem. O innych „razach” póki co nie myślimy.

Sztuk, jak się okazało, miał rację. Wskazany w kadrach adres okazał się niskim, dwupiętrowym blokiem na Ochocie, niedaleko Hali Banacha i mieszczącego się na jej zapleczu bazaru. Drzwi mieszkania na parterze otworzyła starsza, siwowłosa kobieta, w kwiecistym nylonowym fartuszk narzuconym na zielony sweter. Grube pończochy nie były w stanie zamaskować splątanych sznurów żyłaków, które szpeciły nogi staruszki.

– Panowie do kogo? – Kobieta nie sprawiała wrażenia wystraszonej, głos miała pewny, donośny, ton stanowczy.

Okazali legitymacje i wyjaśnili, że chcieliby rozmawiać ze Stanisławem Olczakiem, jeśli taki tu mieszka.

– Owszem, mieszka, a właściwie mieszkamy, bo to mój mąż. Czego panowie od niego chcą? – zapytała rezolutnie.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie, która wiąże się z dawnym miejscem pracy pani męża. – Kowalski nie miał zamiaru wprowadzać kobiety w żadne szczegóły. – Chcieliśmy tylko chwilę porozmawiać, nie zajmujemy zbyt wiele czasu. Czy możemy wejść?

– A proszę, wejdźcie panowie. – Olczakowa odsunęła się od drzwi, robiąc im przejście. – Ale męża nie ma, poszedł na bazarek po warzywa.

– Jak pani myśli, długo mu zejdzie? – zapytał Sztuk, rozglądając się jednocześnie po pokoju, do którego weszli.

Pokój był całkiem spory, naprzeciw drzwi znajdowało się podwójne okno, wychodzące na duży, częściowo osłonięty boczną ścianą budynku balkon. Prowadziły na niego przeszklone drzwi usytuowane w rogu, na końcu pomieszczenia. Wyposażenie pokoju – meblościanka, ława, fotele i wersalka – pamiętało z pewnością siedemdziesiąte lata ubiegłego wieku. Może Olczakowie kupili je na raty, a może za skrętnie składane oszczędności. Pokażny zbiór kryształów na półkach za szybkami wskazywał, że nieźle musiało im się kiedyś powodzić. Na podłodze leżał teraz już sfatygowany, ale niegdyś zapewne drogi, duży dywan. W pokoju nie było telewizora, na co Sztuk natychmiast zwrócił uwagę, przyzwyczajony, że w tego typu wnętrzach to właśnie telewizor stanowił centralny i najważniejszy punkt wyposażenia.

– Siadajcie panowie – poprosiła Olczakowa. – Jak mąż nie spotka nikogo znajomego i się nie zagada, to powinien wrócić zaraz. Bazarek jest tu blisko, a on wyszedł już jakiś czas temu.

Jakby na potwierdzenie jej słów zazgrzytał klucz w zamku i do mieszkania wszedł Stanisław Olczak. Spojrzał przez drzwi do pokoju i postawił ciężkie siatki na podłodze.

– Mamy jakieś odwiedziny? – zwrócił się zdziwiony do żony.

– Panowie z policji, Stasiu, do ciebie, chcą cię rozpytać o dawną robotę – pospieszyła z odpowiedzią Olczakowa.

Policjanci podnieśli się z foteli.

– Tak, my do pana, chcieliśmy tylko o coś spytać, nie zajmiemy wiele czasu. – Sztuk pierwszy wyciągnął rękę do starego. Wszyscy trzej uściskali sobie dłonie.

– Chodźmy, panowie, do kuchni. Muszę wyjąć śliwki z siatki, bo się całkiem zgniotą na dnie.

– Ja to przecież zrobię – pospieszyła z pomocą Olczakowa.

– Ty zostań, my sobie z panami spokojnie porozmawiamy.

Olczak podniósł siatki i skierował się do kuchni, dając im znak, żeby poszli za nim. Kiedy weszli do kuchni, Sztuk zrozumiał, dlaczego w pokoju nie było telewizora. Kuchnia okazała się pomieszczeniem niewiele mniejszym od pokoju. Lewą ścianę od wejścia zajmował ciąg drewnianych szafek, pomiędzy nimi wmontowany był zlewozmywak i kuchenka gazowa, a nad nią stalowy okap. Prawą stronę pomieszczenia stanowiła głęboka wnęka. Tam stał kwadratowy stół z krzesłami, niewielka kanapa i stolik, a na nim okazałych rozmiarów telewizor. Sztuk i Kowalski usiedli za stołem, podczas gdy Olczak wyjmował zawartość siatek na szafkę. Dotarł w końcu do torby ze śliwkami i delikatnie wysypał je prosto do zlewu. Wtedy dosiadł się do stołu.

– Ładnie państwo mieszkają – zagaił rozmowę Sztuk.

– Urządzailiśmy się już dawno, teraz wszystko, co mamy, ma swoje lata i pewnie wymagałoby wymiany. – Widać Olczak miał swoje zdanie na temat jakości mieszkania i sprzętów. – Ja jestem rodem spod Przasnysza. Byłem jakby jedynakiem. Mój młodszy brat zmarł jako młody chłopak. Zwykła grypa go zabiła. Siadło mu na serce, nic się nie dało zrobić i umarł, jak miał szesnaście lat. Mama umarła niedługo po nim. Rak. Jak i ojciec zmarł, sprzedałem ziemię i całe gospodarstwo. Dużo tego było. Udało się kupić to mieszkanie z drugiej ręki, wyposażyć i jeszcze trochę na czarną godzinę zostało. Wcześniej wynajmowaliśmy z żoną pokoik przy rodzinie, na Pradze, przy Cyryla i Metodego, niedaleko komendy milicji. Żona jest z Warszawy rodem. Ale, nie wymawiając, z biedy. Poznaliśmy się, jak byłem we wojsku, w jednostce, tu niedaleko, przy Żwirki i Wigury. Żona pracowała przy kuchni. Ładna była i... Ale co ja tam gadam i gadam, a panowie pewnie chcielibyście ode mnie czegoś konkretnego się dowiedzieć – przerwał sam sobie.

Olczak wysłuchał, z czym przychodzą, i zafrasowany pokręcił głową. Chwilę milczał, widać było, że chce pomóc i usiłuje sobie coś przypomnieć. Nagle jego twarz się rozjaśniła.

– A wiecie, panowie, że rzeczywiście, samochód pamiętam, tylko że najpierw jakoś mi to wypadło z głowy. Bo trzeba wiedzieć, że samochody zapamiętywałem z łatwością. Lubiłem się im przyglądać. Nigdy mnie nie było stać na auto, życie zleciało i tak zmotoryzowany to ja już nie będę – roześmiał się. – Ale na samochody lubię popatrzeć i poczytać o nich. No więc była taka szara mazda. To było jeszcze wtedy, jak tablice rejestracyjne to były takie czarne blachy, a litery na nich białe. Tak, dobrze pamiętam. Była, była. Ale kto nią jeździł, to nie wiem, bo kierowcom to ja się nie przyglądałem. Miałem zapisane numery rejestracyjne wozów uprawnionych do wjazdu, sprawdzałem numer w zeszycie i jak był wpisany, to podnosiłem szlaban. Automatu to wtedy jeszcze u nas nie było.

Sztuk zrezygnowany spojrzął na porucznika, ale tym razem to Kowalski przejawiał entuzjazm.

– A co się stało z tym zeszytem, przekazał go pan swojemu następcy? – zapytał.

– E, nie, każdy miał swój notes, a w nim własne bazgroły. Jak się zbierałem z roboty na emeryturę, zabrałem różne swoje szpargały, co się nagromadziły przez lata. Zawsze jakieś papierzyska się za człowiekiem wloką. To i zeszyt pewnie tam był. Zosia! – zawołał w głąb mieszkania.

Olczakowa znalazła się w kuchni podejrzanie szybko. Ciekawość i nadzieja, że usłyszy, czego dotyczy rozmowa w kuchni, musiała trzymać ją blisko drzwi.

– Nie wiesz, gdzie jest ta papierowa teczka z moimi papierami z roboty? Żona pilnuje wszystkich dokumentów w domu – wyjaśnił policjantom Olczak.

– Pewnie w którymś pudle, w szafie na górze. Jak jej gdzieś nie przełożyłeś – dodała zgryźliwie Olczakowa.

Zeszyt rzeczywiście odnalazł się we wskazanym miejscu, a w nim zapisany numer rejestracyjny szarej mazdy. Po chwilowej euforii Sztuk i Kowalski, niezależnie od siebie, pomyśleli to samo: Co nam to daje, co z tego, że mamy numer rejestracyjny samochodu, którym kiedyś jeździł jeden z pracowników zakładów? Jaki to w ogóle ma związek ze sprawą? Po co było tracić tyle czasu?

Rozdział XXXVII

Po powrocie na komendę czekała ich niemila niespodzianka. Dyżurny na dole poinformował ich, że mają natychmiast stawić się w gabinecie naczelnika Gniewka.

– Siadajcie. – Gniewek wskazał im fotele przy stoliku, sam usiadł za biurkiem. – Mówcie – rzucił krótko.

Streścili, czego dowiedzieli się u Olczaka, a widząc, że oblicza naczelnika nie wykrzywia wściekłość, podzielili się też swoimi wątpliwościami co do przydatności pozyskanych informacji.

– Nie macie racji, panowie. – Naczelnik był wyjątkowo spokojny. – Numer jest warszawski, wiemy, z jakiej dzielnicy, wystarczy skontaktować się z archiwum właściwego wydziału komunikacji, żeby dowiedzieć się, kto był właścicielem samochodu. Tym zajmiesz się ty – polecił Kowalskiemu. – Ale mam kiepską wiadomość dla pana, komisarzy. Dzwonił komendant Wierzbza. Pora wracać do siebie. Nie mogą się tam już pana doczekać – uśmiechnął się.

– To znaczy, kończy mi się oddelegowanie? – zapytał dla pewności Sztuk.

– Tak. Ale sprawy nie zamykamy. Porucznik Kowalski będzie z panem w kontakcie. Być może przyda się powęszyć jeszcze na Helu. Przecież w końcu tam się to wszystko zaczęło.

Zabranie rzeczy z hotelu nie zajęło komisarzowi wiele czasu. Większość z ubrań, przybory toaletowe i niezbędne drobiazgi znalazły się przecież w ostatnich dniach w mieszkaniu Zuzanny.

– Rozumiem, że musisz jechać, ale dlaczego tak od razu. – Dziewczyna była niepocieszona.

Siedzieli w kuchni. Zuzanna po telefonie od Sztuka zwolniła się trochę wcześniej z pracy.

– To nie jest od razu – tłumaczył. – Wiesz, jak jest w moje robocie. Komendant dzwonił dzisiaj. A w pracy będę dopiero jutro. Mam dużo czasu, żeby spokojnie dojechać do Władka.

– A jak nie będzie biletu na pociąg? – Zuzanna nie dawała za wygraną.

Sztuk podniósł się, podszedł do dziewczyny, podniósł ją pod łokcie i postawił przed sobą, po czym mocno przytulił.

– Dla mnie bilet zawsze się znajdzie, głuptasie – powiedział, wciągając w nozdrza zapach jej włosów. – Ale mamy dla siebie jeszcze całą godzinę. Nie możemy jej zmarnować.

Rozdział XXXVIII

Komisarz ze zdziwieniem stwierdził, że właściwie jest zadowolony z powrotu do domu. Pomimo wszelkich niedoskonałości położenia, dobrze czuł się w swoim mieszkaniu, na własnych śmieciach, z uczuciem myślał nawet o dobiegającym z zewnątrz zapachu ryb, który przywołał mu teraz na myśl romantyczne skojarzenia: malowniczo rozkołysane morze, na falach kuter, rybacy wybierający sieci.

„No proszę, wystarczy krótki pobyt z dala od rybiego smrodu, żeby za nim zatęsknić” – pomyślał nie bez ironii.

Na komendzie zameldował się punktualnie o ósmej. I tu, o dziwo, od wejścia dobrze się poczuł.

„Starzeję się, staję się sentymentalny”.

Z przyjemnością witał się z kolegami z pracy, którzy wystawiali głowy z pokojów, kiedy szedł korytarzem do siebie.

– Cześć, stary, nareszcie jesteś. – Rozradowany Kubik nie tylko mocno uściśnął mu dłoń, ale też z impetem poklepał po plecach. – Nudno tu było bez ciebie jak cholera. Zamknęliśmy sprawę przemytu papierosów. Ten Kobylak dostanie pewnie zawiąsy za paserstwo. Nie był wcześniej karany i generalnie to porządny chłop. Dał się tak głupio wciągnąć. Chęć łatwego zysku go zgubiła. A miał tam na kempingu jak u Pana Boga za piecem. I grosz też całkiem, całkiem jak na taką robotę. Poza tym nic, rozróby drobnych pijacków, kradzieże rowerów i nocna wycinka drzew z lasu na wydmach. To co zawsze. No ale mów, co u ciebie, co słychać w wielkim świecie? Tylko poczekaj, zrobię nam wcześniej herbatę. Wiem, że masz się zameldować u komendanta, ale stary będzie dzisiaj dopiero około dziesiątej. Jest w Pucku na naradzie.

Przy herbacie Sztuk opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się w Warszawie. Przemilczał oczywiście wątek Zuzanny, nie widział potrzeby, aby fajnego skądinąd kumpla z pracy, wtajemniczać w swoje osobiste sprawy.

– Ten cały Gniewek miał rację, może rzeczywiście warto będzie powęszyć jeszcze tu na miejscu – stwierdził Kubik po tym, jak komisarz skończył opowiadać.

– Tyle tylko, że nie ma się tu czego uchwycić – stwierdził ponuro Sztuk, przewidując, że przyjdzie mu się kisić w małomiasteczkowej nudzie.

Szybko okazało się, że mylił się w swoich przewidywaniach. Już po dwóch dniach zadzwonił do niego Kowalski.

– Ahoj, przygodo, witaj, marynarzu słonych wód! – rozpoczął radośnie. – Jak tam Bałtyk, na swoim miejscu, nie wysechl? – żartował dalej.

– Cześć. A u was co, jakaś imprezka od rana czy Pałac Kultury postanowili jednak zburzyć? Co cię tak nakręciło?

– Też się nakręcisz, jak usłyszysz, co dla ciebie mam. Stary, mamy właściciela szarej mazdy. To znaczy, już teraz to właściciel srebrnego opla mokka SUV. Facet zmienił samochód w dwa tysiące piętnastym roku. Mamy numer rejestracyjny. Właściciel to niejaki mecenas Tadeusz Bogucki. Zanim zaczął pracować w pepetelu, przez kilka lat pracował jako radca prawny w zakładach remontowych

portu lotniczego. I teraz, stary, słuchaj, teraz najlepsze, kilka lat temu zwolnił się z pezetelu i wrócił o zakładów, tyle że na wyższe stanowisko. Jest dyrektorem biura prawnego. Co ty na to? – zapytał z triumfem w głosie Kowalski.

– Zaraz, zaraz, chcesz powiedzieć, że doszedłeś do tego wszystkiego w ciągu dwóch dni? Ktoś ci wsadził petardę w tyłek?

– Mądrzyj się, mądrzyj, Łyso ci, że cię przy tym nie było. Ale szczerze? Nie pracowałem sam. Stary jakby się wściekł, naciski z góry były już takie, że przydzielił mi dwóch całkiem zdolnych aspirantów z wydziału prewencji. Dzięki temu mogliśmy sprawdzać jednocześnie w różnych miejscach.

– Ktoś już rozmawiał z tym Boguckim?

– Jeszcze nie. Jedziemy dzisiaj do niego do pracy.

– Ty i aspiranci?

– Zdziwisz się, ja i sam naczelnik! Stary, muszę kończyć. Zadzwoń, jak tylko czegoś się dowiem.

– Zadzwoń bez względu na wszystko. Nawet jak to będzie ślepy strzał – poprosił Sztuk.

Rozdział XXXIX

Mecenas Bogucki z początku nie był zaskoczony wizytą policji w miejscu jego pracy. Wydał się wytrącony z równowagi dopiero wtedy, gdy usłyszał, że rozmowa nie będzie dotyczyła spraw służbowych, a jego osobiście. Pomimo tego spokojnym głosem poprosił, żeby usiedli i zaproponował kawę.

– Dziękujemy, nie zabierzemy wiele czasu. – Gniewek od razu przeszedł do rzeczy. – Panie mecenasie, kilka lat temu był pan posiadaczem szarej mazdy. – Podał numer rejestracyjny. – Czy tak?

– Tak, zgadza się, ale nie bardzo rozumiem. Samochód sprzedałem, zgodnie z prawem zapłaciłem podatek. Czyżby nowy właściciel coś przeszkrobał? Jeśli tak, niewiele będę mógł pomóc, to był przypadkowy nabywca, który odpowiedział na ogłoszenie.

– Nie, nie chodzi o to.

– Wobec tego zamieniam się w słuch. Zaciekawili mnie panowie.

– Prowadzimy postępowanie w sprawie karnej. Pewne fakty i ustalenia ze śledztwa wskazują, że może pan być z nią związany – wyjaśnił Gniewek.

– Tym bardziej nie rozumiem. – Bogucki nadal wydawał się spokojny. – Jak mogę być związany z jakąkolwiek sprawą karną? Wybaczą panowie, nie chciałbym, żeby to zabrzmiało zbyt żartobliwie, ale nie przypominam sobie jako żywo, żebym popełnił jakiś zabroniony prawem czyn.

– Panie mecenasie, mamy zeznania świadków, którzy twierdzą, że osiem lat temu, przez kilka miesięcy, regularnie parkował pan naprzeciw wejścia do drugiego LO we Włochach, obserwując wychodzących i wchodzących uczniów. Czy pan zaprzeczy?

– Bzdura! – oburzył się Bogucki. – Po co miałbym to robić, pytam?

– To pan musi odpowiedzieć na to pytanie. Twierdzi pan, że takie zdarzenia nie miały miejsca? – Naczelnik był nieustępliwy.

Bogucki zaczął pocierać czoło, jakby stracił rezon.

– Panowie – zaczął po chwili milczenia – owszem, mam zwyczaj robić sobie krótkie przerwy w pracy. Krótkie przejażdżki pozwalają mi odpocząć od tych wszystkich papierów, umów, skomplikowanych opinii. Parkuję w cichych, miłych miejscach, żeby posiedzieć, porozmyślać, oderwać głowę od służbowych spraw. Nie wykluczone, że zatrzymywałem się też w miejscu, o którym mówicie, zwłaszcza jeśli to jest zielona okolica. Ale, na Boga, to chyba nie jest karalne!

– Boga bym do tego nie mieszał, panie mecenasie. Jeszcze jedno krótkie pytanie, jeśli pan pozwoli. Gdzie pan zazwyczaj spędza urlop?

– Różnie, ale często wyjeżdżamy z żoną do Juraty, na Hel. Mieszkamy zawsze w tym samym hotelu, Aldo, niedaleko głównego deptaka. Sentymenty żony, panowie rozumieją. To miejsce, gdzie na każdym kroku można się otrzęść o jakiegos celebrytę, usiąść w kawiarni obok stolika zajętego przez znanego aktora czy aktorkę. Żonie to imponuje. Mnie, przyznam, taki sposób spędzania urlopu nudzi, ale rozumiem panowie, kto się oprze kobiecej zachciance, zwłaszcza jeśli koniec końców jej spełnienie nie

wymaga specjalnego wysiłku. – Bogucki starał się przybrać lekki ton, ale w jego głosie dało się odczuć napięcie.

– Czy ostatnie wakacje też tam państwo spędzili?

– Owszem, byliśmy w Juracie przez dziesięć dni, w lipcu.

– Czy nie dotarły do państwa informacje o morderstwach, które wydarzyły się w tym czasie na jednym z kempingów na Helu? – indagował dalej Gniewek.

– Zestaw pytań mają panowie rzeczywiście zaskakujący. Ale owszem, usłyszeliśmy o tych zdarzeniach, tyle że nie podczas pobytu w Juracie, a już tu, w Warszawie. Zdaje się, że jedna z naszych znajomych wspomniała o tym u nas w domu, podczas spotkania przy brydżu. Być może, że w czasie, kiedy doszło do tych morderstw, nas już nie było w Juracie, dlatego nic nie słyszeliśmy na ten temat.

– Dziękujemy panu. – Gniewek uniósł się z fotela, a w ślad za nim to samo zrobił Kowalski. – Nie będziemy zabierać więcej czasu.

– Nie ma za co. Przykro mi, że nic nie wniosłem do sprawy, którą panowie się zajmują – uśmiechnął się Bogucki.

„Nie byłbym tego taki pewien” – pomyślał Kowalski, zamykając drzwi.

– Co o tym myślisz? – spytał Gniewek, jak tylko wsiedli do samochodu.

– Myślę, że ten Bogucki to zwierzyna, którą tropimy. Nie wierzę w przypadki, szefie. – Kowalski pokręcił głową. – Przypadkiem facet przez parę miesięcy parkuje przed liceum, do którego chodzi nasza denatka, przypadkiem w tym samym czasie co ona spędza urlop na Helu. Za dużo przypadków, jak na mojego nosa.

– Zaraz, zaraz, nie rozpędzaj się. Skąd wiesz, że w tym samym czasie byli na Helu?

– No, rzeczywiście, nie wiem, intuicja. Faktycznie, trzeba to sprawdzić – przyznał porucznik.

– Zadzwoni do Sztuka. Niech się tym zajmie – polecił naczelnik Gniewek.

Rozdział XL

Sztuk zaparkował na ulicy przez hotelem Aldo. O tej porze roku w Juracie było już niewielu turystów. Po chodniku przechadzały się głównie starsze pary. Nie było widać dzieci. I przyjezdne, i miejscowe siedziały już w szkolnych ławkach. Październikowe słońce oświetlało odnowioną niedawno fasadę budynku hotelu. Sztuk zdjął przeciwsłoneczne okulary i wszedł do środka. W recepcji siedział młody, szczupły chłopak. Ubrany był w granatowy, chyba służbowy garnitur. Plakietka przypięta do kłapy marynarki informowała, że ma na imię Bogusław. Na widok Sztuka odłożył pod kontuar gazetę, którą właśnie czytał i posłał w stronę komisarza służbowy uśmiech. Spojrzał na podsuniętą legitymację służbową komisarza i uśmiech zastąpił natychmiast poważny wyraz twarzy i pełne uwagi pochylenie głowy.

– Jak mogę pomóc, panie komisarzy?

Sztuk omiótł wzrokiem pustą salę recepcyjną. Przez otwarte drzwi w rogu zauważył, że także hotelowa restauracja świeci pustkami. Uznał zatem, że może rozmawiać swobodnie i że nie ma konieczności przejścia w bardziej ustronne miejsce.

– Od dawna pan tu pracuje? – zapytał chłopaka.

– Od czterech lat. To moja pierwsza praca.

– Więc zdążył pan już poznać niektórych ze stałych gości?

– Niektórych, panie komisarzy – usłużnie przytaknął recepcjonista.

– Pamięta pan może małżeństwo, państwa Boguckich z Warszawy? Przyjeżdżają tu co roku.

– Niech pomyślę. Trudno mi powiedzieć. Bogucki, Bogucki...

– Nie najmłodszy, on już po sześćdziesiątce, mecenas – podrzucał Sztuk.

– Nazwisko chyba znam. Zaraz... tak, już wiem. Stali bywalcy naszego parkietu. Teraz kojarzę, bo nasz pan kierownik lubi postać w drzwiach i przyglądać się tańczącym gościom i przyznaję, ja też lubię popatrzeć, jak się ludzie bawią. Niestety, zza kontuaru nie widzę dobrze sali, więc kiedyś pozwoliłem sobie stanąć w pobliżu drzwi i popatrzeć przez chwilę. Miałem nadzieję, że mnie kierownik nie zauważy, i wystraszyłem się trochę, kiedy obejrzał się i zobaczył, że nie stoję za kontuarem. Ale on tylko się uśmiechnął, skinął na mnie ręką, a kiedy podszedłem, powiedział: „Popatrz, Boguś, ile fajnych babek na parkiecie”. Skinąłem tylko głową, bo prawdę mówiąc, wszystkie te panie to nie moja kategoria wiekowa i nawet nie bardzo umiem ocenić, czy fajne, czy niefajne. Wtedy pan kierownik wskazał jedną z tańczących, taką wysoką elegancką blondynkę uczesaną w kok i powiedział: „Mecenasowa Bogucka. To dopiero rasowa kobieta, może zawrócić w głowie”. Ale zaraz jakby się zreflektował, że nie bardzo mu wypada obgadywać gości z personelem, i kazał mi wracać do recepcji.

– Słusznie. A kiedy to było, ostatniego lata czy wcześniej?

– Z całą pewnością to było w te wakacje, panie komisarzy.

– Może pan sprawdzić na liście gości, w jakich dniach Boguccy mieszkali w Aldo?

Chłopak się zawahał, ale tylko przez chwilę. Widać uznał, że policjant ma prawo żądać od niego tej informacji i nie ma sensu odsyłać go do kierownika. Wyciągnął więc na blat księgę gości,

przekartkował kilka stron, przejechał palcem z góry na dół, a kiedy znalazł szukane nazwisko, odwrócił książkę i przesunął ją w stronę Sztuka.

– O tu, proszę. Imiona, nazwiska i daty pobytu.

Sztuk przeczytał wskazane informacje, nie robił notatek. Nie było tam wiele do zapamiętania. Podziękował chłopakowi, a nawet wyciągnął do niego dłoń nad kontuarem i pożegnał się uściskiem dłoni, co usłużnego recepcjonistę w widoczny sposób wprawiło w zadowolenie.

Sztuk wrócił na komendę i niezwłocznie połączył się z Kowalskim.

– Cześć. Byłem w tym hotelu, tak jak chcieliście. Chociaż właściwie nie wiem po co. Przecież Bogucki mógł wam powiedzieć, w jakim terminie i gdzie w Juracie spędzali z żoną urlop.

– Niby tak, ale poznałeś dewizę Gniewka: każdą informację sprawdzaj w dwóch źródłach. Zwłaszcza jeśli jednym z nich jest osoba podejrzana.

– Niby racja. To zresztą standardowe postępowanie. Wiesz, myślałem dużo o tej sprawie i...

– Co ty powiesz? – przerwał Kowalski. – A ja myślałem, że ty wykorzystujesz ostatnie słoneczne dni i leniuchujesz bezmyślnie na plaży.

– Leżę, leniuchuję i myślę, kolego. Ale mówiąc poważnie, wkurza mnie, że nadal szukamy po omacku. Śmierdzi nam ten Bogucki, ale nie wiadomo dlaczego. Nic na niego nie mamy. Intuicja, nic więcej. Wystawał pod szkołą Anety. I co z tego? Był na Helu wtedy, kiedy i ona, i obie zamordowane dziewczyny. Może to przypadek. W tym samym czasie było tu tysiące przyjezdnych z całej Polski. Nadal nie wiemy, jak powiązać Boguckiego z Anetą. A jak z innymi denatkami? To się w ogóle nie skleja.

– No dobrze, ale jakiejś hipotezy musimy się trzymać, choćby po to, żeby ją wykluczyć. Wiemy, że Bogucki wrócił do Warszawy w tym samym czasie co Aneta Mazur. Ona wydaje się tu kluczową postacią. Trzymamy się, jak pamiętasz, opcji, że dwie pierwsze ofiary to kamuflaż.

– A czy ktoś w ogóle widział Boguckiego z Anetą? Przepytaliście sąsiadów dziewczyny? Może u niej bywał?

– Stary, za kogo mnie masz? Pewnie, że to zrobiliśmy.

– I co, powszechna znieczulica?

– No trochę tak. Ale wiesz, to mi przypomniało, że jest jeszcze jedna sąsiadka, do której nie dotarliśmy, bo babka bawiła w egzotycznej podróży.

– To na co ty jeszcze czekasz? Kopnij się do niej. Widzisz, że warto czasem porozmawiać z mądrym człowiekiem? – Sztuk się rozłączył.

Rozdział XLI

– Jakby mnie szukał stary, to jestem w terenie i będę za jakieś półtorej godziny – rzucił Kowalski dyżurnemu policjantowi, wychodząc z komendy.

Po rozmowie ze Sztukiem postanowił od razu porozmawiać z sąsiadką Anetą Mazur. Zaparkował przed blokiem i wbiegł na piętro. Drzwi do mieszkania Anety nadal były zaplombowane. Zadzwoił do drzwi po przeciwnej stronie korytarza. Dało się słyszeć stukanie obcasów i w drzwiach ukazała się typowa „rycząca czterdziestka”. Sąsiadką okazała się bowiem wysoka, szczupła, mocno opalona kobieta, ubrana, a właściwie wciśnięta w opinającą sukienkę we wzór panterki, z głębokim dekoltem, aż nadto eksponującym wydatny biust, który, jak miał wrażenie Kowalski, znalazł się niebezpiecznie blisko jego oczu. Zdołał jednak unieść powieki i nie odwracając już wzroku od twarzy kobiety, przedstawił się i pokazał legitymację. Sąsiadka otworzyła szerzej drzwi i gestem zaprosiła go do środka.

– Proszę, niech pan wejdzie. Spodziewałam się wizyty policji, wiem od sąsiadów, że rozmawiali państwo ze wszystkimi po tym strasznym wydarzeniu.

Usiedli w fotelach naprzeciw siebie. Kobieta założyła nogę na nogę i Kowalski znowu zmusił się do utrzymania wzroku na wysokości twarzy gospodyni.

– Nie wiem, czy będę mogła pomóc. Nie znałam sąsiadki, mówiłyśmy sobie tylko dzień dobry, jeśli przypadkiem spotkałyśmy się na schodach.

– Rozumiem, ale tu właśnie może chodzić o przypadek. Czy może przypadkiem widziała pani kogoś odwiedzającego pani sąsiadkę? Wchodzącego, wychodzącego? Może kiedyś zobaczyła ją pani w czymś towarzystwie? Może zauważyła pani kogoś na klatce schodowej, kto zwrócił pani uwagę? Proszę się zastanowić.

– Sama nie wiem. – Teraz dla odmiany kobieta skrzyżowała nogi w kostkach, co nie uszło uwadze Kowalskiego. – No nie, nie przypominam sobie. – Widać było, że szuka w pamięci. – Chociaż zaraz, rzeczywiście. No widzi pan, nie była nawet potrzebna hipnoza – zaśmiała się. – To było jakoś w lecie, zza otwartego okna dobiegał hałas, dlatego kiedy usłyszałam dzwonek, nie byłam pewna, czy to do mnie. Podeszłam do drzwi i spojrzałam przez wizjer. Musi pan wiedzieć, że nie mam zwyczaju interesować się życiem sąsiadów, wystarczająco ciekawe jest moje własne – dodała. – Ale wtedy rzeczywiście wydawało mi się, że to może ktoś do mnie. Zobaczyłam, że jakiś mężczyzna stoi przed drzwiami sąsiadki i zaraz ona sama otworzyła. Ale nie weszli od razu do środka, tylko przez moment rozmawiali, przy czym mężczyzna rozglądał się na boki. Zanim weszli do mieszkania, zauważyłam, że w przedpokoju przy drzwiach stoi duża walizka. To wszystko trwało bardzo krótko. Fakt wydawał mi się bez znaczenia i właściwie zapomniałabym o tym całkiem, gdyby nie pytania pana porucznika.

– Czy jest pani w stanie przypomnieć sobie, jak wyglądał ten mężczyzna?

– Spróbuję, pod warunkiem, że znowu pomoże mi pan pytaniami.

Kowalski dopiero teraz wyjął notes i zaczął zapisywać.

– No i wtedy pokazałem jej zdjęcie Boguckiego, to które mamy z jego dowodu. Nie była pewna, widziała faceta prawie cały czas od tyłu, chwilami migał tylko jego profil, ale opis się zgadza, a dla mnie to Bogucki jak byk! – Kowalski zakończył relacjonować naczelnikowi Gniewkowi.

– Dobra robota – pochwalił naczelnik. – Co planujesz?

– Musimy sprawdzić alibi Boguckiego na czas obu morderstw na kempingu i na czas zabicia Anety Mazur.

Po powrocie do swojego pokoju porucznik natychmiast połączył się ze Sztukiem. Ustalili dalsze kroki.

Rozdział XLII

W gabinecie naczelnika Gniewka zrobiło się duszno nie do wytrzymania. Deszcz grubymi kroplami zaczął właśnie od tej strony budynku, w której naczelnik miał swój pokój. Woda spływała po szybach, jakby ktoś polewał je wiadrami. Uchylenie okna choćby na palec groziło zalaniem podłogi. Rozmawiali już od dobrej godziny. Sztuk nie krył zniechęcenia. Już kiedy jechał na naradę do Warszawy, czuł rozczarowanie. Teraz uczucie to jeszcze się pogłębiło. Miał wrażenie, że powrócili do punktu wyjścia. Znowu nie mieli nic, stanęli przed ścianą. Mecenas Bogucki miał alibi na czas wszystkich trzech morderstw. Zarówno dyrektor Aldo, jak i obsługa hotelu, a przede wszystkim zatrudniony tam w sezonie didżej prowadzący potańcówki zgodnie twierdzili, że we wskazanych przez komisarza wieczorach w godzinach, w których, jak napisali w raportach patologdy badający obie denatki doszło do zabójstwa, Bogucki nie opuszczał parkietu, bawiąc się świetnie w towarzystwie innych hotelowych gości. Co więcej, jak ustalił Kowalski, mecenas w czasie, kiedy doszło do zamordowania Anety Mazur, przyjmował w licznym gronie współpracowników i dyrekcji zakładu delegację z lotniczych zakładów remontowych z Mediolanu.

– Co nam, do cholery umyka? – w głosie Kowalskiego dało się wyczuć skrajne napięcie. – Czego nie widzimy? To przecież musi być Bogucki. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

– Nie zgadzam się. Popełniliśmy jakiś błąd przy wyciąganiu wniosków z zebranych informacji. Nie dostrzegamy jakiegos istotnego faktu. – Naczelnik zapatrzył się w spływające po szybie krople deszczu. – Przyjmijmy, że nasza koncepcja jest słuszna. Że wszystkie trzy morderstwa popełniła ta sama osoba i że dwa pierwsze miały tylko zamazać obraz. Zastanówmy się jeszcze raz. Komu mogło zależeć na śmierci Anety. Dlaczego Boguckiemu zależałoby na jej śmierci?

– Bogucki ma przecież alibi – wtrącił Sztuk.

– Zapomnij o tym na chwilę, myśl – syknął zniecierpliwiony Gniewek, nie odwracając oczu od okna, jakby tam szukał odpowiedzi na dręczące go pytania. – Miał romans z Anetą? Chciał go zakończyć? Szantażowała go? Nie umiał inaczej wypłatać się z tego?

– Wątpię. – Kowalski pokręcił głową. – Czego miałyby się obawiać, gdyby wieść o romansie ujrzała światło dzienne? Co miałyby na tym stracić? To już nie te czasy, a Bogucki to nie prawicowy polityk, dla którego strata wizerunkowa może mieć istotne znaczenie podczas wyborów. No i ma to cholerne alibi.

– Wszystkie nici prowadzą jednak do niego. – Naczelnik nie dawał za wygraną.

– Panie naczelniku, dzwonią do pana z Komendy Stołecznej. Podobno nie odbiera pan telefonu. – W uchylonych drzwiach stała młodsza aspirant Justyna Boniecka, która widać miała dzisiaj dyżur na dole. Była to wysoka, około trzydziestoletnia kobieta. Miała wyraziste, szare oczy, wąski nos i niesforne blond włosy uczesane w kok.

– Dziękuję, zaraz do nich oddzwonię. – Gniewek uśmiechnął się na jej widok, a kiedy za panią aspirant zamknęły się drzwi, rzucił krótko w stronę zamyślonych policjantów – Idźcie teraz do siebie i pogłówkujcie jeszcze. Spotkajmy się u mnie za dwie godziny. Wierzę, że... nie, życzę sobie, żeby w te dwie godziny spłynęła na was łaska Boska i oświeciła wasze umysły, bo inaczej nie mamy co liczyć na łaskę komendanta.

Sztuk i Kowalski postanowili jednak poszukać natchnienia poza komendą i znaleźć bardziej przyjemne miejsce do myślenia niż nieprzystępny pokój Kowalskiego. Ich wybór padł na niewielki japoński bar, gdzie o tej porze nie spodziewali się zastać zbyt wielu klientów, a w którym, o czym zapewniał Kowalski, można było za przystępną cenę najeść się do syta egzotycznymi ryżowymi kanapkami. Kiedy wychodząc mijali dyżurkę, Kowalski rzucił krótko w stronę aspirant Bonieckiej:

- Jakby co, to będziemy za dwie godziny. A jakby coś grubszego, to masz numer mojej komórki?
- Jasne – odpowiedziała Kowalskiemu, przy czym uśmiechnęła się wyraźnie w stronę Sztuka.

Wyszli na ulicę. Przestało padać, powietrze było świeże, z drzew skapywały krople, tworząc na kałużach małe kęgi.

– Jak ty to robisz? – Kowalski pokręcił głową. – Straszysz tą swoją marsową miną, zachowujesz się jak gbur, a babki i tak na ciebie lecą. Chociaż, jak zauważyłem, nasza pani młodsza aspirant tobie też wpadła w oko. Gapiłeś się na nią bezczelnie, nic dziwnego, że wyszczerzyła do ciebie zęby. Nie każdego obdarza uśmiechem.

Sztuk się nie odzywał. Szedł zamyślony, widać było, że słowa Kowalskiego nie całkiem do niego docierają.

Bar o tej porze rzeczywiście był pusty. Wbrew oczekiwaniu Sztuka za ladą nie stała Japonka, tylko wysoki, jasnowłosy chłopak, uczesany w długą kórkę sięgającą mu aż do połowy pleców. Przywitał ich najczystsza polszczyzna. Złożyli zamówienie, a kiedy usiedli przy stoliku, Kowalski zachęcił komisarza:

- No mów, przecież widzę, że coś cię dręczy.
- Tak, coś mi umyka od jakiejś chwili. Już w gabinecie Gniewka coś mi nie dawało spokoju.
- Myśl, przyniosę kanapki. – Kowalski podniósł się od stolika.

Za chwilę postawił przed nimi talerze z kanapkami i dwie szklanki soku owocowego.

– Słuchaj – Sztuk był teraz wyraźnie ożywiony – czy wszystkie nici prowadzą nas do Boguckiego, czy do... Boguckich? Zastanów się. Oboje byli na Helu w czasie morderstw, oboje wrócili do Warszawy wtedy, kiedy wróciła Aneta Mazur. On ma alibi. A co z nią? Czy ktoś ją sprawdził?

– Justynka, to nasza Justynka posunęła ci tę myśl. Rzeczywiście, jest w typie podobna do Boguckiej. I wiesz, stary – porucznik klepnął Sztuka w plecy – czuję, że to jest wreszcie ta właściwa droga do rozwiązania sprawy!

Zjedli kanapki w ekspresowym tempie i wrócili na komendę. Naczelnik Gniewek zdążył już wywietrzyć gabinet. Przez szeroko otwarte okno wpadały teraz nieśmiało promienie popołudniowego słońca. Nastrój w pokoju też zmienił się całkowicie. Uchwycili się nowego wątku i poczuli przypływ energii.

– Przydałbyś się tutaj. – Gniewek zwrócił się do Sztuka. – Zastanów się, czy musisz jechać. Może ktoś u was na miejscu może sprawdzić alibi Boguckiej?

– Może rzeczywiście nie muszę wracać. Spokojnie mógłby to załatwić starszy aspirant Kubik od nas. To świetny wywiadowca, ma nosa do tej roboty. Tylko że pan naczelnik musiałby poprosić komendanta Wierzbę, żeby zlecić Kubikowi zadanie.

- To oczywiście da się zrobić. A wy zacznijcie działać tutaj.

Rozdział XLIII

Starsza aspirant Justyna Boniecka i Krystyna Bogucka rzeczywiście były do siebie podobne. Różnica wieku między nimi była zbyt mała, żeby uchodzić za matkę i córkę, ale spokojnie mogłyby być siostrami. Bogucka, stojąc w drzwiach, uważnie obejrzała legitymacje obu policjantów.

– Panowie do męża? Nie ma go w domu. Czy coś wydarzyło się w zakładzie? – lekkie przeciąganie samogłosek i starannie wymodulowany głos miały świadczyć o przynależności jego właścicielki do wyższej klasy społecznej.

– My do pani. – Sztuk spojrzał prosto w oczy kobiety. Byli tego samego wzrostu i ich oczy z konieczności się spotkały.

– Nie bardzo rozumiem, ale proszę, zapraszam do salonu. – Bogucka poszła przodem.

Wystrój mieszkania robił wrażenie. Sztuk nie miał wątpliwości, że zarówno wybór mebli, jak i wszystkie dodatki, a także to, jak zaaranżowane zostało wnętrze, to robota dobrego architekta. Musiało to wszystko sporo kosztować, ale przebieg kariery zawodowej Boguckiego świadczył o tym, że bez trudu mógł sobie pozwolić na takie wydatki.

– Siadajcie panowie, proszę. – Bogucka wskazała na dwa przepastne skórzane fotele. Sama usiadła na sofie opodal. – Czy napiją się panowie czegoś? Kawa, herbata, może woda?

– Bardzo dziękujemy. Chcielibyśmy zadać tylko kilka pytań. – Kowalski otworzył notes.

– Chętnie odpowiem na każde. Tylko proszę mi łaskawie powiedzieć, czemu zawdzięczam panów wizytę? Czyżbym nieświadomie była świadkiem jakiegoś wydarzenia, które zajmuje panów uwagę?

– Tego właśnie nie wykluczamy. Proszę powiedzieć – Kowalski spojrzał w notes – czy latem tego roku, pomiędzy dziesiątym a dwudziestym pierwszym lipca przebywała pani na Półwyspie Helskim?

– Owszem, jak co roku spędzaliśmy tam z mężem urlop. Byliśmy w hotelu Aldo.

– A czy pamięta pani, co robiła wieczorem jedenastego i osiemnastego lipca? – pytał dalej Kowalski.

Bogucka uniosła brwi w niemym zdziwieniu.

– Wie pan, w tej chwili zupełnie nie pamiętam. Musiałabym pomyśleć...

– Proszę to zrobić. – Sztuk odezwał się głośniejszym głosem, jego głos zabrzmiał ostro.

– Zaraz, zaraz. – Bogucka przyłożyła palec do ust i pochyliła głowę zapatrzona w nieokreślony punkt, tak jakby nad czymś usilnie myślała. – Tak, to mogły być dni dancingowe. O tak, z pewnością tak właśnie było. W takim razie oba wieczory spędziłam na hotelowym parkiecie. Oboje z mężem uwielbiamy tańczyć i nie ukrywam, że między innymi z tego powodu, że w Aldo urządzone są regularne dancingi, a nie dyskoteki, właśnie ten hotel wybieramy na miejsce corocznego wypoczynku.

– Czy ktoś może potwierdzić to, co pani mówi?

– No wie pan!? – Bogucka się oburzyła. – Widzieli mnie wszyscy, którzy się tam bawili. A pewnie też kierownik hotelu, on zawsze towarzyszy tańczącym gościom. Ale pyta pan, jakbym była o coś podejrzana, to chyba nie są pytania do świadka. Proszę powiedzieć, o co naprawdę chodzi – zażądała.

– Proszę się nie niepokoić, ustalamy po prostu, gdzie były poszczególne osoby w chwili wydarzeń, które staramy się wyjaśnić. To rutynowe pytania i proszę mi wierzyć, typowe pytania do świadków – wyjaśnił Kowalski. – Zresztą, rozmawialiśmy już także z pani mężem. Byliśmy u niego w pracy. Nie mówił pani?

– Nie. Widocznie uznał, że panów wizyta miała rzeczywiście rutynowy charakter szukania wyjaśnień u świadków i nie musi zaprzętać mi głowy. Podejrzewam też, że mówił w imieniu nas obojga, nie mógł więc przypuszczać, że zechcą panowie rozmawiać także ze mną.

– Pewnie tak było – przytaknęła Sztuk. – Jeszcze tylko jedno pytanie: czy po powrocie z urlopu nie wyjeżdżała pani już nigdzie?

– Nie. Od tego czasu jestem już w Warszawie.

– A zatem – Sztuk podniósł się z fotela, to samo w ślad za nim uczynił Kowalski – dziękujemy pani za poświęcony czas.

Wszyscy troje przeszli do obszernego przedpokoju, gdzie Bogucka, już bez słowa, pożegnała ich skinieniem głowy.

– Przejdźmy się trochę, to ładna okolica. Pogadajmy na świeżym powietrzu – zaproponował Sztuk.

Poszli niespiesznie pod szpalerem rozłożystych lip. Pod nogami chrzęściły im opadłe z drzew, zbrązowiełe lipowe nasiona.

– No i co, czysta jak łąka – zaczął rozmowę Kowalski.

– Nie byłbym taki pewien. To prawda, była spokojna, ani na chwilę nie wypadła z roli – przytaknęła Sztuk.

– Ale coś ci nie gra, przecież widzę.

– Przyjrzałeś się jej, kiedy wychodziliśmy? Dlaczego, skoro była taka spokojna i opanowana, nad jej górną wargą pojawiło się tak dużo kropli potu? W domu nie było gorąco, a pani mecenasowa nie jest jeszcze w takim wieku, kiedy miałyby ją oblewać gwałtowne poty.

– Ech ty, znawco kobiet – roześmiał się Kowalski, ale musiał przyznać, że nieważne z pozoru spostrzeżenie Sztuka może jednak mieć jakieś znaczenie.

Po powrocie do komendy Sztuk od razu zadzwonił do Kubika.

– Dawaj, co masz – rzucił do słuchawki bez zbędnych ceregieli.

– Też cię kocham i też za tobą tęsknię. – Humor widać dopisywał Kubikowi. – Dzięki tobie mogłem za friko opić się pysznej kawy w hotelu Aldo. Mają tam dobry ekspres. Kawa w recepcji, kawa u kierownika, kawa u zaopatrzeniowca. Stary, pikawa zaraz wyskoczy mi z piersi.

– Kubik, do cholery! Nie mam ochoty ani czasu na żarty. Mów, czego się dowiedziałeś.

– No więc tak. – Kubik spoważniał. – Boguccy rzeczywiście byli na potańcówkach i jedenastego, i osiemnastego lipca. Jak zawsze szaleli na parkiecie. Tyle tylko, że o ile wszyscy doskonale pamiętają, że Bogucki ani na chwilę nie wychodził z sali, o tyle wszyscy też zgodnie twierdzą, że mecenasowa za każdym razem wyszła znacznie przed mężem. Wychodząc, skarżyła się stojącemu w drzwiach kierownikowi, że jest zmęczona i udaje się do pokoju. Jej wyjścia nie umknęły uwadze pozostałych gości, bo o ile kiedy Bogucka była na dancingu, to mąż tańczył tylko z nią, o tyle potem, jak zauważyli wszyscy, z ochotą obtańcowywał co młodsze panie.

– Czyli Bogucka kłamie i nie ma alibi na czas obu morderstw – podsumował Sztuk. – Stary, masz u mnie piwo. No może nawet dwa. Nie więcej. – Sztukowi wrócił dobry humor.

Czym prędzej streścił rozmowę Kowalskiemu.

– Szukaliśmy motywu. To mogła być zazdrość. Bogucki rzeczywiście mógł mieć romans z Anetą Mazur. Może dziewczyna żądała rozwodu, może mecenasowa obawiała się, że mąż porzuci ją dla młodszej kobiety. Bała się utarty swojej pozycji. To na moje oko zimna i wyrachowana osoba. Nic o niej nie wiemy, nie znamy jej przeszłości, nie wiemy, jakie środowisko i jakie warunki kształtowały jej charakter.

– Tylko z tego, co pamiętam, w przypadku przynajmniej pierwszego zabójstwa, według patologa mordercą był raczej mężczyzna. W każdym razie morderca miał jego zdaniem duże i silne dłonie. Sam mi mówiłeś.

– Tak, ale tak mówił po wstępnych oględzinach, jeszcze w przyczepie. Trzeba popytać patologów, którzy robili sekcje dziewczynom, co oni o tym myślą.

Rozdział XLIV

– Siedźcie. – Naczelnik Gniewek machnął ręką, wchodząc do pokoju Kowalskiego. Zamknął za sobą drzwi i usiadł ciężko na pierwszym z brzegu krześle. – Po szesnastej mam być u komendanta. Stary nie mówił, po co mnie wzywa, ale założę się, że chce wiedzieć, jak daleko posunęliśmy się w śledztwie. Mówcie, co macie, i lepiej niech to będzie coś, o czym jeszcze nie wiem, inaczej udam, że mam zawał i sami będzie stawać przed komendantem. – Widać, że naczelnikowi nie było obce wisielcze poczucie humoru, które wydawało się, że charakteryzowało wyłącznie porucznika Kowalskiego. – I bez zbędnych wstępów – dodał, widząc, że Kowalski nabiera powietrza w płuca.

– No więc Bogucka nie ma alibi na czas wszystkich trzech zabójstw – zaczął porucznik. Omówił w skrócie wszystko, czego dowiedzieli się ze Sztukiem, nie pomijając informacji przekazanych przez patologów, którzy nie wykluczyli, że zabójstw mogła dokonać silna kobieta o szerokich dłoniach. – Przyjeliśmy, że miała motyw, stary jak świat: zazdrość. No i niskie pobudki, czyli obawa przed utratą pozycji i majątku. Pewnie w razie rozwodu Bogucki musiałby płacić jej alimenty, ale to nie to samo, co być żoną bogatego męża i bez przeszkód czerpać ze wszystkich jego dochodów. Sam pan naczelnik by zobaczył, że to luksusowa kobieta.

– Słuchajcie, to wszystko są jakieś kretyńskie domysły i poszlaki funta kłaków niewarte. – Gniewek nie był zły, był zrozpaczony. – Nawet jeśli macie rację, to jak ją udowodnicie?

– To może być prostsze, niż myślimy. W przyczepach znaleziono wiele śladów daktyloskopijnych. Niestety, stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że sprawca działał w rękawiczkach. Ale jedno przeoczyliśmy. Ślady biologiczne na apasce, którą zostały uduszone pierwsza z dziewczyn i Aneta Mazur. Nie mieliśmy podejrzanego, więc nikt się nimi nie zajął, bo nie było ich z czym porównać. Ale mamy przecież metryczkę śladową w protokole. Teraz wystarczy je porównać z DNA Boguckiej. Pojadę do niej sam! – krzyknął nagle Sztuk, widząc, że Kowalski zbiera się do wyjścia.

Tym razem w domu zastał oboje. Drzwi otworzył Bogucki. Po krótkim wyjaśnieniu o powodach ponownej wizyty, wszyscy troje usiedli w salonie.

– Zatem, tak jak powiedziałem, chciałbym tym razem dzięki państwu zweryfikować zeznania niektórych z pozostałych świadków. Być może, panie mecenasie, wyjaśnił pan już żonie, że śledztwo dotyczy morderstw, które popełniono na kempingu Żagiel na Helu, a więc sprawa jest bardzo poważna i wymaga wyjątkowo starannego i dokładnego sprawdzenia wszystkich możliwych hipotez.

– Widzę, że zanosি się na dłuższą rozmowę, hotel był pełen gości, więc pewnie też przesłuchał pan wiele osób, których wyjaśnienia moglibyśmy uzupełnić. Dlatego pozwolę sobie zaproponować coś do picia. – Bogucki podniósł się i podszedł do barku.

– Dla mnie tylko woda, jestem w pracy – poprosił Sztuk.

– I dla mnie woda, kochanie – dodała Bogucka.

– Wobec tego proszę, woda dla państwa. – Mecenas napełnił szklanki i postawił je przed żoną i komisarzem.

– Może jednak poprosiłbym też o kawę, jeśli to nie kłopot. – Sztuk zwrócił się do Boguckiej po tym, jak zdążyła upić niewielki łyk wody ze swojej szklanki.

– Oczywiście, zaraz przyniosę. – Bogucka wyszła do kuchni.

Mecenas w tym czasie, odwrócony plecami do Sztuka, napełniał swoją szklaneczkę z napoczętej butelki szkockiej. Sztuk bez trudu zamienił niezauważenie swoją szklankę z naczyniem, z którego przed chwilą piła Bogucka. Potem odbył z gospodarzami długą, ponad półgodzinną rozmowę, zadał szereg banalnych pytań, żonglując przy tym zapisanymi wcześniej w notesie nazwiskami gości hotelu Aldo.

– No cóż, będę się żegnał. Bardzo mi państwo pomogli – dziękował, przy czym podniósł się tak niezręcznie, że połą marynarki strącił na podłogę stojącą przed nim szklankę. Ta rozbiła się z brzękiem na lśniącej, lakierowanej posadzce.

– Bardzo przepraszam, zdarza mi się to nie po raz pierwszy. Narobiłem państwu kłopotu. – Pochylił się, żeby pomóc gospodyni w zbieraniu kawałków szkła.

– Nic nie szkodzi, komisarzu, szkło podobno tłucze się na szczęście – powiedział z uśmiechem Bogucki.

Rozdział XLV

Dalej sprawy potoczyły się już szybko. Zabezpieczone na apaszcze i na ubraniu Anety Mazur ślady DNA były w pełni zgodne ze śladami na kawałku szkła, przekazanym przez Sztuka do laboratorium. Nie mieli wątpliwości, mordercą była Krystyna Bogucka. Zeznania świadków z dancingu, do tego ślady DNA i prawdopodobny romans Boguckiego z Anetą Mazur potwierdzony pośrednio informacją uzyskaną od sąsiadki Anety to były wystarczające dowody, żeby Sztuk i Kowalski, po uzyskaniu pozwolenia z prokuratury, udali się, tym razem w towarzystwie dwóch posterunkowych, jeszcze raz do mieszkania Boguckich. Podczas wyprowadzania żony mecenas stał jak skamieniały na środku salonu, powtarzając tylko: „Boże, Boże...”. Bogucka, po usłyszeniu krótkich wyjaśnień i niezbędnej formuły, bez słowa, nie oglądając się za siebie, wyszła z mieszkania w asyście policji. Podczas przesłuchania w siedzibie komendy powiedziała tylko:

– Musiałam go chronić! Zrobiliby z niego pedofila. A to nieprawda! Lubił młode dziewczęta, bardzo młode. Podnieca go tylko niewinne, nietknięte przez czas ciało. Lubił patrzeć na takie dziewczyny, wyobrażać sobie, że są jego kochankami. Kiedy napięcie nie pozwalało mu już normalnie funkcjonować, jeździł na dworzec, wybierał młode prostytutki. Wiedziałam o tym, rozumiałam, że tak musi być. Pogodziłam się. Ale ta Aneta! Nie tego się bałam, że mi go zabierze, tylko że go skompromituje. Że rozpowie o jego problemie całemu światu. On jest po prostu chory, a ja go kocham. Kocham go! Teraz to wiem.

Do zamknięcia sprawy było przed śledczymi jeszcze dużo roboty. Ale to co najważniejsze, już było pewne. Morderca nie pozostanie bez kary.

Rozdział XLVI

Przez dworcowe głośniki zapowiedzieli już wjazd pociągu relacji Warszawa–Gdynia. Zuzanna mocno przytuliła się do Sztuka.

– I jak ty, biedaku, dostaniesz się do tego swojego Władka? – Stała na palcach i pocałowała go w policzek.

– Kubik wyjedzie po mnie samochodem. – Sztuk, widząc światła wyjeżdżającego z dworcowego tunelu pociągu, pocałował dziewczynę mocno w usta i zapytał szybko: – Przyjedziesz do mnie latem?

– Nie. Nie latem. Przyjadę na święta. To już za niecałe dwa miesiące. – Zuzanna uśmiechnęła się filuternie.

– Masz bombki na choinkę czy przywieźć? – zdążyła jeszcze zapytać, ale Dariusz Sztuk nie usłyszał już tego pytania.

Szczęśliwy i uśmiechnięty wskakiwał właśnie na stopnie wagonu.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Rozdział XXVIII

Rozdział XXIX

Rozdział XXX

Rozdział XXXI

Rozdział XXXII

Rozdział XXXIII

Rozdział XXXIV

Rozdział XXXV

[Rozdział XXXVI](#)

[Rozdział XXXVII](#)

[Rozdział XXXVIII](#)

[Rozdział XXXIX](#)

[Rozdział XL](#)

[Rozdział XLI](#)

[Rozdział XLII](#)

[Rozdział XLIII](#)

[Rozdział XLIV](#)

[Rozdział XLV](#)

[Rozdział XLVI](#)

[Karta redakcyjna](#)

Morderstwo na kempingu

Wydanie pierwsze

ISBN: 978-83-8313-158-0

© Renata Furman i Wydawnictwo Novae Res 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Magdalena Białek

Korekta: Małgorzata Szymańska

Okładka: Kinga Witas



NOVAE RES

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 25 19, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek